

DWIE POLITYCZNE UNIE.

Jak w całym zakresie wiedzy, którą możemy przyswoić sobie własnym rozumem i badaniem, nie małej jest użyteczności i wagi zestawianie i porównywanie poszczególnych przedmiotów, objawów i wyników, tak i w historii, gdzie powtarzają się nieraz, mimo wielkiej różnicy i odległości miejsc i czasów, charaktery mężów na losy ogółu wpływających i zdarzenia, stanowiące epoki, w sposób tak uderzający, że zdają się same wyzywać do głębszego nad nimi zastanowienia się: a z otarcia, że tak powiem, i uderzenia jednych o drugie tryskają iskry jaśniejszego poznania i rozumienia i tych i tamtych.

Któż z uczeńszych nie wie, jak pięknymi i pouczającymi są parallele słynnych mężów starożytności skreślone przez Plutarcha? Na wzór jego zestawiał także nasz Ignacy Krasicki kilkunastu znakomitych mężów z wieków chrześcijańskich.

Co do podobieństw zachodzących między dziejami całych pokoleń lub narodów, mamy, nie wspominając prac obcych, w naszej literaturze ciekawą, z niemałym historycznym zmysłem skreśloną przez Joachima Lelewela paralellę Polski z Hiszpanią. Oddając się od wielu lat źródłowemu badaniu dziejów ojczystych, a od niedawna studyum nad skandynawskimi, nie mało z tamtymi styczności mającemi, byłem nieraz uderzony podobieństwami, które między niemi zachodzą, mianowicie w dwóch zdarzeniach, i tu i tam epokę stanowiących, które i tu i tam rozpoczęły się w wieku XIV. a otrzymały swe rozwiązanie w wieku XVI. Mówię o Unii kalmarskiej i Unii lubelskiej. Pierwszą złączyły się trzy państwa: Dania, Norwegia i Szwecya w jedną polityczną całość, trzy narody wspólnego pochodzenia. Drugą skojarzyły się podobnie dwa państwa: Polska i Litwa, dwa narody zupełnie innoplemienne. Głębsze zastanowienie się nad przyczynami, właściwym charakterem, losami i ostatecznym wynikiem jednej i drugiej doprowadza do wniosków ważnych i pouczających tak pod względem historycznym jak i politycznym; może zaprawdę dostarczyć obfitego wątka do sporego dzieła: gdyż chodziło o pare

wieków i o szereg zdarzeń i postaci wielce różnych od wszystkiego, na co dziś patrzymy.

Gdy atoli prawdziwa znajomość dziejów nie tyle polega na mnóstwie dat i szczegółów, jak raczej na ogarnieniu całości i poznaniu wypadków i ludzi w prawdziwym świetle, odważyłem się szanowni słuchacze, *) przedstawić Wam te zdarzenia w ogólnych zarysach, które wszakże wystarczą, jak sądzę, do dania o nich dostatecznego wyobrażenia.

Co do Unii lubelskiej, to tyle już o niej pisano i rozprawiano, że przyjdzie mi przypomnieć Wam tylko, co już po większej części wiecie; co do Unii kalmarskiej zaś, znanej u nas podobno tylko jako cząstka dziejów powszechnych, wypadnie mi przytoczyć nie jedno ze współczesnych miejscowych kronik i późniejszych skandynawskich dziejopisarzy.

Najprzód zaś należy rzucić choć pobieżnie okiem na polityczny stan Skandynawii przed Unią kalmarską, i na położenie rzeczy u nas przed ślubem Jadwigi z Jagiełłą, ową pierwszą podwaliną Unii lubelskiej, a zaraz na wstępie napotkamy liczne między obustronnemi dziejami podobieństwa.

Dania, Norwegia i Szwecya, lubo pokrewne sobie szczepowo, żyły długo w ustawicznych między sobą zatargach a nawet otwartych wojnach. Każda z nich miała z dawien dawna własnych królów obieralnych z bardzo ograniczoną władzą, zawisłych we wszystkim od narodu na tingach (sejmach) obradującego.

Wszędzie trzymano się zwykle jednej dynastji, póki starczyło jej członków. Mówię zwykle, bo właśnie Szwecya przedstawia, w skutek długiego antagonizmu dwu głównych pierwiastków jej ludności (Szwedów na północy i Gotów na południu), przez cały wiek, to jest od roku 1150 do 1250 jedyne w dziejach zjawisko dwu naraz dynastji: gockiej Swerkeri i szwedzkiej Bonde, które na podstawie obopólnego układu tak się kolejno przeplatały, że np. po zgonie monarchy z rodu Swerkeri, lubo zostawił potomków, wybierano następcę z rodu Bonde, a dopiero po zejściu tegoż, znów jednego z synów tamtego i t. d.

Gdy niestało obudwóch dynastji (1250) powołano do berła szwedzką rodzinę Folkungen, która piastowała go do 1363 kiedy ostatniego z nich Magnusa II. Smeka wygnano dla jego zdrożności. Ten przywiązał wszakże swe imię do wielkiego statutu krajowego, za jego rządów w 1347 ogłoszonego.

*) Jestto prelekeya, którą szanowny autor miał d. 16. Marca w sali Zakładu Ossolińskich.

Po jego upadku zaczęto obierać królów obcego pochodzenia, najprzód Albrechta księcia Meklemburskiego, co dawszy bardzo wybijając swawolnej szlachcie, a władając przeważnie przez swych Niemców i najemne żołdactwo, stał się wręście obmierzłym narodowi.

Tymczasem córka duńskiego króla Waldemara III. (który odwiedził w 1363 Kazimierza Wielkiego w Krakowie) Małgorzata, żona króla norweskiego Hakana (Joachima) VIII. a matka Olofa V., po zgonie ojca, męża i syna, połączyła w swem ręku berła Danii i Norwegii, i ściągnęła na się oczy strudzonych rządami Albrechta Szwedów. Powołują ją w 1388 na swój tron: Albrecht pokonany w walce i uwięziony zrzeka się wręście korony, a Małgorzata, niesłychanym dotąd w dziejach i zwyczajach skandynawskich przykładem pierwsza na tronie kobieta, widzi się na czele trzech państw, które razem sięgały od północnego bieguna po ujście Elby, a od ostatnich krańców Finlandyi, Newy i Ladogi po Orkady, Islandyę i nieco już zaludnioną Grönlandyę.

Unas władała od wieków rodzima dynastyja Piastów, królów uznawanych od narodu z tej lub owej gałęzi tego szczepu, a widocznie zawisłych od rady i przyzwolenia Biskupów i Panów świeckich (*Praelati et Barones*).

Nie znały bowiem owe wieki katolickie właściwego despotyzmu i rządów absolutnych. Miarkował wszędzie i ograniczał go to kościół to sam naród. Prawdziwy despotyzm jest płodem pogaństwa, czy to starożytnego czy nowożytnego, które tem różni się od pierwszego, że gdy tamto dławiło ręką nagą, to dławi ręką ubraną w rękawiczkę.

Otóż właśnie sąsiednia nam pogańska Litwa miała Panów samowładnych, niczem nieograniczonych, dziedzicznych, o ile jeden nie strącał drugiego.

Bałwochwalczy i zdobywcy byli postrachem krajów okolicznych, wrogami Polski, zapuszczając nieraz aż w samo jej serce łupieżkie swe Pogonie.

„Skąd Litwini wracali, z nocnej wracali wycieczki, wieźli łupy bogate w zamkach i cerkwiach zdobyte“—mówi Mickiewicz w Wallenrodzie. Ukołysał ich cokolwiek Władysław Łokietek łącząc (1325) syna Kazimierza z Aldoną (Anną) córkę możnego W. X. Gedymina, i odzyskał ok. 100.000 zabranych odeń jeńców. Ale poglądano zawsze na siebie z pewnem niedowierzaniem i obawą. Korzystał Kazimierz Wielki z osłabienia Litwy po zgo-

nio Gedymina i odzyskał dla korony zagrabione przez Litwinów Wołyń i Podole, jak przyłączył był niedawno do Polski Ruś Czerwoną. Jak na północy Magnus II. ostatni z Folkungów, zostawił narodowi statut jego imię noszący, tak u nas Kazimierz Wielki, ostatni z Piastów, unieśmiertelnił swe imię statutem wiślickim, w tym samym nawet co i tamten roku (1347) wydanym.

Jak po Magnusie nastał król obcego pochodzenia (Albrecht), tak tu po Kazimierzu W. Ludwik Węgierski. Jak Albrecht rozluźnił szlachtę tak i Ludwik, jak tamten władał przez Niemców, tak ten przez Węgrów. I jak tam po Albrechcie przyszła po raz pierwszy na tron kobieta Małgorzata, tak u nas po Ludwiku (1384), pierwsza kobieta Jadwiga.

Obaczmyż, co zrobiła jedna i druga?

Małgorzata obdarzona rzadkim geniuszem, mając w ręku Unię osobistą trzech narodów, zapragnęła sprzedać je ściślej i trwalej Unią polityczną, któraby podnosząc na wysokim trójuogu przyszłą jej dynastję, utwierdziła pokój między długo zwaśnionemi ludami, i zapewniła im polityczne znaczenie i potęgę na zewnątrz. Wyjednawszy więc następstwo po sobie krewnemu Erykowi xięciu pomorskiemu, skłoniła stany trzech królestw do podpisania 20. lipca 1397 w Kalmarze Unii, której oto główne postanowienie:

„Państwa te będą wiecześnie połączone pod jednym królem, „wybieranym zgodnie od trzech narodów. Jeżeli zmarły król zostawi synów, to jeden z nich ma być wybranym. Jeżeli umiera „bezdzietnie, mogą wybrać kogo im się podoba. Każdy naród „zachowuje własne prawa i instytucye, osobną radę stanu (senat) „osobne tingi (sejmy), własnych dostojników państwa i urzędników „krajowców. Wszystkie zaręczają sobie nawzajem, zgodę i braterstwo w pokoju, a pomoc w wojnie z obcymi, chociażby za granicami własnego kraju. Monarcha rozporządza łącznemi siłami, „przedstawia całość na zewnątrz i zawiera traktaty za poradą „senatu owego z trzech królestw, gdzie właśnie z kolei przebywa“.

Trudno zaiste o bardziej skomplikowaną maszynę. Nie postanowiono nic co do miejsca i modły elekcji, nie przewidziano możliwych wątpliwości wykładów, kolizji, a tak akt ten nacechowany widocznie pośpiechem i żądzą osiągnięcia przynajmniej głównego celu, miał już w swych zawiązkach chorobliwe zarody.

Mało co pierwiej, bo w roku 1386, młoda nasza Jadwiga, kochając jako kobieta rakuskiego Wilhelma, czyni jako królowa ofiarę z serca na korzyść narodu. Oddaje rękę możnemu władcy krajów

sięgających od Bałtyku i Niemna do Dzwiny i Dniepru, władcy, co niedawno jeszcze podnosił oręż na Polskę, a mógł jej być nadal bardzo niebezpiecznym. Przyrzekł on wszakże, że z całym swym ludem zostanie katolikiem, a oto apostołstwo, oraz najlepsza rękojmia obopólnej zgody i jedności. Owszem zaraz po chrzcie i ślubie oświadcza Władysław (jak mówi Długosz *), że Litwę, „Zmudź i wszystkie ruskie swe posiadłości zapisuje, przekazuje, „połącza i wciela wiecześnie do Polski (*perpetuo inscripsit, univit, „invisceravit, adjunxit et incorporavit*).

Gdy więc Małgorzata przeprowadziła akt przeważnie dynastyczno-polityczny, pokładając całą ufność w pargaminach i ludziach, to Jadwiga spełniła akt na korzyść wiary, ofiarę serca z miłości narodu z jedyną nadzieją w Bogu.

Przypatrzmy się teraz jakie były następstwa Unii kalmarskiej, a jakie ślubu Jadwigi.

Wypada najprzód przytoczyć słowa Małgorzaty do Eryka, co miał zastąpić ją od r. 1412 jako Eryk XIII. „Mój Eryku! niech „cię Szwecya żywi, Norwegia ubiera, ale Dania broni i utrzymuje „na łącznym tronie!“

Słowa te stały się mniej więcej programem wszystkich następnych królów Unii, którzy poczytywali Szwecję i Norwegię jako attynencye Danii.

Były już sarkania na Małgorzatę, że powierza straż głównych zamków i warowni Duńczykom, Anglikom a nawet Włochom raczej jak Szwedom. Wzmogły się narzekania na Eryka, gdy jego namiestnicy po prowincjach uciskali nie tylko lud ale i szlachtę. Rosły z dnia na dzień podatki, a wszystkie pieniądze wywożono do Kopenhagi. Urzędy albo dawano cudzoziemcom albo nie obsadzano ich zupełnie.

Zanim upłynęło lat 40 od zawiązania Unii, nazywano to „obcym panowaniem“.

Zakipiało i zawrzało po skalach i dolinach Szwecyi, a oto staje w r. 1433 na czele narodowego powstania naczelnik hut górniczych Dalekarlii Engelbrecht, gromi i rozprasza zastępy Eryka, zostaje obwołany rejentem Szwecyi i władą do r. 1436. kiedy pada pod morderczym ciosem skrytobójcy. Objął po nim najwyższą władzę Karol Knutson Bonde, którego życie ma nam przedstawić najdziwniejsze przewroty losu.

*) Księga X. str. 105.

Wszakże należy dla zrozumienia dalszych dziejów, zwrócić uwagę na dwa stronnictwa, które się teraz utworzyły i kolejno rozstrzygały o władzy w Szwecyi.

Jedni bardzo liczni zawsze pragnęli utrzymać Unię kalmarską a na ich czele stało duchowieństwo złożone z arcybiskupa i prymasa Upsalskiego, prezesa senatu, i 6 biskupów, duchowieństwo będące jak wszędzie w ówczesnej Europie pierwszym stanem państwa, bardzo bogato wyposażone, mnogie liczące zakony i klasztory i wywierające na lud gorąco katolicki wpływ niezmierny. Dla czegoż należało do zwolenników Unii?

Najprzód, że było tu jak zawsze i wszędzie za władzą legalną, a poczytywało królów w moc uroczystej Unii kalmarskiej władających za prawą władzę.

Powtóre widziało w Unii rękojmię bezpieczeństwa i pokoju między narodami, które przedtem tak długo i zażarcie z sobą wojowały. a trzeba pamiętać, że wtedy należały do Danii południowe kończyny Skandynawskiego półwyspu: Skania, Hallandya i Blekingen między Kattegatem a Bałtykiem, skąd miała Dania łatwy przystęp w samo serce Szwecyi, a od Zachodu Norwegia zalegała całą niemal połowę tego półwyspu.

Po trzecie, że mimo wszelkich od każdej ludzkiej instytucji nie odłącznych stron ujemnych, przywar i błędów monarszych, upatrywano w Unii potęgę, powagę i wpływ na zewnątrz.

Jakże im się dziwić można, kiedy i dziś jeszcze, lubo od wielu już lat Szwecya z Norwegią są połączone Unią osobistą, Unia Skandynawska jest marzeniem wielu tam patryotów, znajdującem swój wyraz w głośnych nieraz demonstracyach, opierających się na jednoplemienności i równych interesach tych narodów! Wszak Unia ta była ulubionem marzeniem i zmarłego niedawno króla—poety Karola XV. Z drugiej strony znaczny zastęp narodu żądał bądź co bądź zupełnego oderwania się i odrębnych władców. Na jego czele stała można arystokracja, która w separatyzmie politycznym upatrywała władzę dla siebie, władzę którą mógł ukrócić tylko potężny władca trzech narodów.

Otóż wkrótce po upadku Engelbrechta przemogło stanowczo pierwsze stronnictwo; uchylono głowy przed Erykiem, a na powtórny zjeździe kalmarskim (1436) usiłowano uzupełnić braki pierwotnego układu. I tak np. postanowiono między innemi, że odtąd będą wybierać wspólnego króla w stolicy Hallandyi, Halmstadzie,

pełnomocnicy trzech narodów w liczbie 40 z każdej strony, że pierwszym kandydatem do berła jest któryś z synów zmarłego króla, a jeżeli ten zejdzie bezpotomnie, to spiszą się na 3 kartkach imiona trzech narodów, a którą z nich wyciągnie jednoroczne dziecko, to ta wskaże, z którego narodu ma być król wybranym. Obaczmy jednak później, jak sami królowie Unii, niebaczniem postępowaniem szkodzili, osłabiali stopniowo swe stronnictwo, lejąc wodę na młyn przeciwników.

Sami Duńczycy wygnali niebawem (1439) niedołęznego Eryka i obrali sobie królem Krzysztofa I. z domu bawarskiego, i mimo tego i wbrew zasadom Unii uznano go w r. 1441 królem i w Szwecyi i Norwegii. Krzysztof I. umiał utrzymać równouprawnienie i żałowano go nawet gdy zmarł w r. 1448.

Duńczycy obwołali królem Krystyana I. hrabiego oldenburskiego, ale szwedzka arystokracja oparła się na sejmie sztokholmskim uznaniu go u siebie i zwyciężyła argumentem, że kiedy państwo Duńczycy bez względu na układy wybierają sobie sami króla, toć teraz i nam należy wybrać kogo się podoba, i oddali koronę owemu Wielkiemu Marszałkowi państwa, Karolowi Knutsonowi Bonde, jako Karolowi VIII. Co więcej, uznała go w r. następującym i Norwegii.

Ale ciągle przewroty były już na porządku dziennym w Skandynawii! Ukorzyła się niebawem Norwegia przed Krystyanem, który rozpoczął w r. 1452 ze Szwecyą wojnę o berło. Potrzeba pieniędzy skłoniła Karola do zagrabiania dochodów i niektórych dóbr kościelnych, ucisk i nędza ludu obok różnych klęsk elementarnych zachwiała do ostatka jego tronem, musiał wreszcie uchodzić w r. 1457 do Gdańska, gdzie przyjął go gościnnie Kazimierz Jagiellończyk. Obawiano się niezmiernie w Szwecyi, aby potężny ten monarcha nie podjął jego sprawy, ale obrotny Krystyan I. wyjednał jego neutralność, został uznany i koronowany królem w Upsali.

Cóż on robi? potrzebuje na gwałt pieniędzy, powiększa podatki i publiczne ciężary. Słysząc wszędzie coraz to groźniejsze szemrania, a że w jego niebytności sprawował najwyższą władzę prymas Jan Oxenstjerna (Uxenszerna), więc za powrotem z wojennej wyprawy zwała na niego całą winę i niesłychanym w Szwecyi przykładem każe go uwięzić. Rzucił się zewsząd lud ku stolicy dla oswobodzenia głowy kościoła, oblega Stokholm, ale Krystyan, mimo zawieszenia broni w nagłej wycieczce morduje i rozprasza liczne tłumy.

Wzmaga się wszędzie burza i dochodzi do tej potęgi, że Krystian po stanowczej porażce musi w r. 1464 chronić się do Danii, a Karol VIII., przywołany po 7ch latach wygnania nazad z Gdańska, obejmuje znów berło. Nie było tego na długo. Krystyan I. umiał znów przebłagać i zagrażać swych stronników; w r. 1465 musi Karol VIII. wyprzysiądz się publicznie w kościele na klęczkach praw do tronu i przestać na Finlandyi, aż znów arystokracya przemaga i w r. 1466 przywołuje go po raz trzeci. Podobny do naszego Łokietka losem ale nie z cnót i dzielności. Na próżno próbował Krystyan to oręża, to układów, dał wreszcie pokój Karolowi VIII. co władał już spokojnie do śmierci 1470.

Gdy zmarł bezdzietnie, zaczęły się kompromisy między obudwoma stronnictwami. Nie obierano już odtąd króla rodzimego, aby nie obruszyć stronników Unii, ale nie uznawano zawsze królów kopenhagskich w poczuciu narodowym i pod naciskiem ambitej arystokracyi. Wicę jeden z niej Sten (Stefan) Sture został wybrany rejentem. Teraz spróbował znów Krystyan I. szczęścia w broni, ale sroga klęska, jaką poniósł pod stolicą, wyleczyła go stanowczo z wszelkich podobnych zachcianek., a przed tą bitwą śpiewało szwedzkie wojsko pieśń do św. Jerzego, jak u nas śpiewano Bogarodzieę.

Sture sprawował przez lat 12 rządy z chwałą i korzyścią dla narodu. Ale gdy po zmarłym w 1481 Krystyanie, nastąpił w Danii i Norwegii syn jego Jan II., przemogło stronnictwo Unii i wyjednało w r. 1483 uznanie go w Szwecyi, wszakże z ogromnemi koncesyami dla arystokracyi. Sławnym „Recessem kalmarskim“ t. r. przyznał Jan tak wielkie prawa Radzie stanu (gdzie przewodził Sten Sture ze swem stronnictwem), że można Jana II. zwać królem tylko tytularnym, a co najbardziej charakteryzuje ten stan rzeczy i powody układu, jest między innemi postanowienie, że „odtąd każdy szlachcic ma być królem nad swymi podwładnymi“.

Jan II. wyjednał wszakże w r. 1499 przyznanie następstwa po sobie synowi Krystyanowi.

Wszakże nie zniosła długo arystokracya i tytularnego monarchy i nie oglądając się bynajmniej na niego obrała po śmierci Stena, w r. 1504 rejentem państwa jego krewnego Swante Sturego, a po śmierci tegoż w r. 1512 syna pierwszego Stena (przezwanego młodszym).

Nie miał dość siły Jan II. aby się temu opierać, ale gdy zeszedł ze świata w roku 1513, syn jego i następca Krystyan II.

człowiek nieugiętej dumy, twardego jak skała serca, chytry i nieprześlagnany w gniewie i zemście, a do tego szwagier najpotężniejszego wówczas monarchy Karola V., czyhał tylko na sposobną chwilę, aby skupiwszy siły upomnieć się o przyznane sobie już w r. 1499 następstwo w Szwecyi. Mało co później (w r. 1515) zasiadł na Upsalskiej Stolicy Gustaw Trolle, otwarty zwolennik Unii, który poczytując Krystyana za prawego króla, nie chciał nawet złożyć na sejmie rejentowi przysięgi jako prymas i głowa senatu. Próżno usiłował ten pozyskać go sobie, zaczęto podejrzawać tajne porozumienia się i spiski. Dano sobie na sejmie w Arboga słowo, raczej zginąć jak poddać się Krystyanowi. Więzła ojca prymasa i wiele osób, oblegają Trollego w warownym jego zamku Stäket, nareście powołują go w roku 1517 na sejm stokholmski i każą mu usprawiedliwić się ze „zdrady stanu“. Odrzekł śmiało „że nie on, ale ci są zdrajcami, co nie uznają Krystyana II.“ Rozjadrzeni stronnicy Sturego odsadzają Arcybiskupa od infuły, zamykają w klasztorze i każą zrównać z ziemią jego zamek.

Niemógł już dłużej zwlekać Krystyan II. Wyprawia się zaraz w r. 1518 na Szwecję, a po chwilowem niepowodzeniu, ponawia w roku 1520 z ogromną lądową i morską siłą swój zamach. Tu następuje straszny dramat, którego rozwiązanie musimy atoli odłożyć, aby rozpatrzeć się we współczesnych naszych sprawach.

Jak w przyrodzie i porządku moralnym, tak w polityce i historyi nie ma skoków i przejść gwałtownych, a jeżeli niekiedy wydają się takimi, to chyba oczom, nie dostrzegającym przyczyn i sprzężn, co je skrycie, długo i stopniowo przygotowały. A im dłużej się coś wyrabia, tem bywa zwykle trwalszem: a co rozwija się z rodzimego pnia i boskiego szczepienia, bywa najzdrowszem. Oto w kilku słowach dzieje Unii Polski z Litwą! Jagiełło podejmując się ścisłego skojarzenia obu narodów, przyrzekł więcej niż zdołał dotrzymać. Żywiły te różne pochodzeniem, charakterem, wyobrażeniami i zwyczajami, tak mało do siebie przystawały, że wreszcie sam Jagiełło zamyślał po śmierci Jadwigi (1399) opuścić polskie berło i przestać na swojej Litwie, i ledwie powstrzymali go w tem Polacy. Późniejszy też zjazd horodelski z r. 1413, mający porównać stany i prawa obu narodów i przyznający Litwinom udział w wyborze wspólnego monarchy, gdyby król zmarł bezpotomnie, nie osiągnął ostatecznie zamierzonego celu.

Polska była Jagielle oblubienicą, Litwa sługą, gdzie przed tym dziedzicznym i nieograniczonym Panem życia i majątków, ugi-

nali kornie kolana książęta i magnaci. Jak bogaty dziedzic bawiący gdzieś indziej, powierza zarząd dóbr komisarzom, tak on zlecał rządy Litwy zrazu rodzonemu bratu Skirgelle, potem genialnemu i dzielnemu bratu stryjecznemu Witoldowi.

Wszakże i z tego, prawie tylko sąsiedniego sojusznika, odnosiła już Polska nie małą korzyść, gdyż był dla niej tem, czem ona sama stała się niebawem dla całej Europy: przedmurzem od barbarzyńskiego świata i od groźnej potęgi Krzyżaków.

Ale właśnie ci doznawszy pod Grünwaldem, co może połączony obu narodów oręż, z drugiej zaś strony cesarz Zygmunt I. Luxemburczyk obawiający się tak wielkiej na północnym lądzie potęgi, wyteżył wszystkie siły i intrygi, aby je rozdzielić i rozewnać. Dobrem ku temu polem okazała się ambicya W. X. Witolda, i pamiętnym jest zjazd łucki (1429) gdzie ofiarowali mu niezawisłą litewską koronę. Mielśmy jednak wtedy męża, co przenikał na wskrós te matactwa, którego jednego bał się potężny Witold, a którego słuchał Jagiełło.

Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski rozewnął te sieci, ocalał narody od rozdzielenia, wyratował co rozpoczęła Jadwiga. Nie też dziwnego, że umierający (w 1434) Jagiełło jemu przekazał słubny swój z nią pierścień, jako godło serca i owej wielkiej myśli.

Władał on też silnie państwem za małoletniego Władysława Warneńczyka, i wyrugował z Litwy buntowniczego Świdrygiełłę, któremu znów Zygmunt ofiarował koronę. Ale Władysław jak przechodni meteor błysnął i zginął (w 1444), a brat jego Wielki książę litewski Kazimierz Jagiellończyk zakochany w swej wygodnej i uległej Litwie, targował się aż 3 lata, nim objął w r. 1447 polskie berło i dopiero po 6 latach w r. 1453 zatwierdził prawa i wolności polskie wymawiając się dotąd swemi litewskimi stosunkami.

Chwiał się zawsze na obie strony, serce ciągnęło go do Litwy, ciężki obowiązek do Polski, a bliższe obu skojarzenie stawało się trudniejszym, że Litwini domagali się oderwania na swą korzyść od Polski Wołynia, Podola i innych ziem, jakoby nieprawnie od tej zajętych.

Duchowieństwo sprzyjało i tu Unii, ale arystokracja litewska bojąca się polskich swobód, była jej i tu na zabój przeciwną, i chciała nawet po śmierci Kazimierza zerwać i ten jaki taki stosunek z Polską i żyć na własną rękę.

Gdy Jan Olbracht wstąpił w r. 1492 na tron polski, obwołała Litwa brata jego Alexandra Wielkim księciem. Traktat z r. 1499 zatwierdził wprawdzie układ horodelski co do udziału Litwinów w wyborze wspólnego monarchy, ale harda Litwa dlatego głównie zostawała odtąd w dobrym porozumieniu i zgodzie z Polską, że nie my jej, ale ona nam dostarczała królów. Była więc niemal tem samem dla Polski, czem ówczesna Dania dla Szwecyi.

Jakoż zaraz w roku 1501 obejmuje W. X. Alexander berło w Krakowie, ale mieszka ciągle prawie w Wilnie, a gdy tam i zmarł w r. 1506, obwołują Litwini W. Xięciem Zygmunta I., którego potem uznają i Polacy.

Jego mądrość, łagodność i sprawiedliwość była jedynym węzłem łączącym oba narody. Wr. 1529 ogłoszony W. X. litewskim syn jego Zygmunt August, a oraz następcą w Koronie, bawi ciągle na Litwie i włada nią od roku 1544 prawie udzielnie.

W roku 1548 zasiada po ojcu na polskim tronie, a kochając zarówno oba narody, ma przygotować ostateczne ich połączenie.

Teraz powołuje nas znów na północ groźny szczełk broni i huk armat pod Sztokholmem.

Pamiętamy, że Krystyan II. wyteżył wr. 1520 wszystkie siły dla upomnienia się o berło i przywrócenia Unii kalmarskiej. Rejent Sture pokonany w bitwie umiera z ran odniesionych. Wkrótce kapitułuje stolica i kraj cały. Uznano zwycięzcę królem, wznowiono Unię, a on zaręczył najuroczyściej ogólną amnestyę i został 4. listopada koronowanym w Sztokholmie. Wśród powszechnych oznak radości, świetnych obchodów i ucht wyprawianych, gdzie podawał rękę i nawet ścisnął niejednego, myślał tylko o zemście i ukaraniu swych przeciwników.

W tajnych naradach ze swymi Duńczykami szukał sposobu, jakby to szykownie w takim składzie rzeczy wykonać, kiedy Niemiec Ditrych Slaghök niegdyś balwierz, a dziś jego kapelan, podsunął myśl szatańską, aby użyć do tego pokrzywdzonego od Sturów prymasa. Współczesny nam bezstronny szwedzki dziejopisarz Eryk Gustaw Geijer powiada „że nie były znane prymasowi niecne „zamiary, którym miał posłużyć za narzędzie“. Na podstępne nalegania dworaków wystąpił przed królem z przedłożeniem krzywd i bezprawioń na sobie spełnionych, twierdząc wszakże, że o karze na winowajców i o wynagrodzeniu przystoi sąd jedynie stolicy apostolskiej. Łagodne to jego i umiarkowane wystąpienie (mówi drugi dziejopisarz Olof Dalin) wprawilo Krystyana w wściekłość,

bo sądząc ludzi po sobie spodziewał się czegoś wcale innego, kazał mu tedy milczeć i wręcz oświadczył, że „i jedno i drugie do niego tylko należy i musi być niezwłocznie uskutecznione“.

Zwołano na oko jakiś sąd, przesłuchano różne osoby, uwieziono wszystkich, co mieli udział w złożeniu Trollego ze stolicy, w jego uwięzieniu i zburzeniu jego posiadłości — i ogłoszono im wyrok śmierci.

Straszny był to dzień ów 8. listopada, kiedy wyprowadzono na otoczony wojskiem główny rynek, 2 biskupów, 12 senatorów i znakomitszych panów, burmistrza Stokholmu, 15 radnych i wielu innych. Do osłupiałego ludu przemówił radca królewski Nilsdycke upominając go „aby nie przerażał się karą, którą król jest zmuszony wymierzyć na winowajców, co podnieśli rękę na prymasa, „bo czyni to na usilne tegoż błaganie“.

Tu podniósł śmiało głos biskup Wincenty ze Skary, „zaprzeczając uroczyście takiemu oszczerstwu, wzywając pomsty bożej, i „żądając bezstronnego sądu, aby się dowiedzieć, za co on i drudzy „mają ponieść śmierć z rąk królewskich?“. Zagłuszono go i padło, jedna po drugiej głów 94. Przeciągnęła się rzeź przez 48 godzin, złupiono domy straconych, a Krystyan wracając do Danii drogą lądową oznaczył w każdym mieście gdzie się zatrzymał, ślad swej bytności szubienicami i mękami. Naliczono wszystkich ofiar jego wściekłości do 600, i słusznie zyskał w dziejach imię „Nerona północy!“

Gdy tak Szwecya pływała we krwi i łzach, odezwały się w górach Dalekarlii rogi budzące do powstania, na którego czele stanął młody Gustaw Waza, któremu ojca i szwagra zamordowano w Stokholmie. Jak rzeka wezbrana, jak lawina z góry lecąca, wszystko z sobą porywa, tak garnęli się doń zewsząd uciemiężeni. Gromi i rozprasza zastępy tyrana, w r. 1521 obwołany rejentem, zajmuje kraj cały, a gdy w r. 1523 znienawidzony i od własnych Duńczyków Krystyan musi opuścić na zawsze berło, wybierają Szwedzi królem Gustawa, kruszą na wieki Unię kalmarską, wrócić w r. 1540 znosząc elekeyę, zapewniają domowi Wazów dziedziczne następstwo.

Jakże inne widoki przedstawiają nam miłościwe rządy Zygmunta Augusta!

Głównem jego marzeniem i celem życia było polityczne zrównanie i połączenie obu narodów.

Pierwszą tego skazówkę już w tem upatrujemy, że on pierwszy nie poruczał już nikomu osobno rządów Litwy, ale kolejno tu i tam przebywał władając osobiście wszędzie. Mówiliśmy wyżej, że głównymi przeciwnikami Unii na Litwie byli magnaci, którzy uciskali też nie w jednej rzeczy szlachtę. Na czele ich stał dom Radziwiłłów, a Mikołaj Czarny wojewoda wileński i kanclerz W. litewski zamyślał nawet o litewskiej koronie po śmierci bezdzietnego króla. Był on oraz głową litewskich innowierców, a jedną ze znacznych przeszkód Unii były niezaprzeczenie ówczesne nowości i walki religijne, które z jednej strony utrzymywały wewnętrzną niezgodę, zamęt i rozstrój, z drugiej zaprzętały wyłącznie i nieużytecznie umysły, odwodząc je od pożytecznych i zbawiennych dla narodu i państwa celów. Sejmy stały się areną dysput i starć gorszących; wyglądały nieraz jak innowiercze Synody, kiedy te bywały niemal sejmikami. Zygmunt usiłował najprzód pozyskać dla swego zamiaru litewską szlachtę, i już w r. 1559 przyznał jej własne na wzór polski sejniki i sejmy, a w r. 1564 zatwierdził nowy statut, urządzający tam wybieralne grodzkie i ziemskie sądy także na kształt polskich. Pomału zasmakowała tamieczna szlachta w pewnych swobodach i zaczęły znikać uprzedzenia narodowe. Już przychodziło w r. 1564 do Unii na sejmie warszawskim, gdzie król dając wielkodusznie przykład z siebie, dla usunięcia wszelkiej przeszkody ze swej strony i zrównania praw publicznych obu narodów, rzekł się, jedynym podobno w Europie przykładem, praw samodzielnego i dziedzicznego W. X. na Litwie, obdarzając ją wolną elekcyą. Wszakże zerwał wszystko Mikołaj Radziwiłł ze swem stronnictwem, i nowych trzeba było wysilić, aż śmierć jego w r. 1565 ułatwiła porozumienie.

Nie mało to jeszcze kosztowało trudu, bo obustronnie stawiano niezgodne z sobą ostateczności. Litwa przystawała tylko na Unię osobistą, Polacy wołali o wcielenie Litwy do Korony.

Wreście po długich sporach stanęła na sejmie lubelskim w r. 1569, (mimo że wielu panów litewskich opuściło i teraz jeszcze wspólne narady) w tym samym miesiącu co Unia kalmarska, 1. lipca długo pożądana Unia. Nie było tam jak w tej wątpliwych lub nieobliczonych na przyszłość zagadkowych określeń, są gruntowne podstawy trwałości i dostateczne dla wszystkich rękojmie.

Korona i W. X. litewskie używające odtąd zupełnie równych praw i swobód, stają się jednym nierozdzielniem ciałem, pod jednym wspólnym w Polsce na wspólnym sejmie obierać się mającym panem.

Senat składa się z biskupów i panów świeckich obu narodów, którzy się starszeństwem krzesel przeplatają, Izba poselska łączy posłów obu narodów pod marszałkiem, który ma być kolejno z Małopolski, z Wielkopolski i Litwy wybieranym. Sejmy wspólne w Warszawie jako w miejscu pośrednim.

Dostojeństwa i urzędy koronne, nadworne i ziemskie osobne dla Polski i Litwy, własnym nadawane krajowcom. Sporne dotąd między obudwoma narodami: Wołyń, Podole, Podlasie i Ukraina należą do Korony. Moneta, traktaty i przymierza obudwu narodom wspólne. Wszelkie cła i myta jak tu tak tam zniesione.

Otóż ta Unia, co zlała wręście dwa narody w jeden, przetrwała wieki i mimo rozdarcia krajów Rzeczypospolitej, tkwi dotąd we wszystkich sercach kochających ojczyznę!

Taką-to spuściznę zostawił ostatni z Jagiellonów.

W Skandynawii zaczęło się od aktu uroczystego trzech narodów a skończyło na rzezi, u nas rozpoczęło się od ślubu Jadwigi, a skończyło na akcie uroczystym ślubu dwu narodów.

Tam rozbiła Unię srogość, a imię Krystyana II. jest w przekleństwie, tu zawiązała Unię miłość a imię Zygmunta Augusta jest dotąd z wdzięcznością wspominane.

W Szwecyi kończy się z upadkiem Unii szereg królów elekcyjnych obcego pochodzenia, a rozpoczyna rodzima, dziedziczna dynastia. U nas przeciwnie, z zawiązaniem Unii kończy się dynastia królów rodzimych, dziedzicznych, a rozpoczyna szereg monarchów elekcyjnych, obcego pochodzenia. Widzimy zaś ostatecznie z porównania dziejów obu Unii, że żadne wymysły i sztuczne kombinacye polityki, nie są tak trwałe, jak związki oparte na uczuciu narodowem i rzeczywistych potrzebach ludów, skoro im Pan Bóg pobłogosławi.

MAURYCY HR. DZIEDUSZYCKI.

O OBECNYM STANIE FIZYOLOGII I JEJ PRZYSZŁOŚCI.

„Fizyologija, która tłumaczy zjawiska życia, stanowi naukę niejako pośrednią, zapuszczając bowiem korzenie swe w naukach fizycznych przyrody, gałęziami swemi wznosi się aż do nauk filozoficznych ducha; zdaje się więc być przeznaczoną na to, aby utworzyć związek pomiędzy tymi dwoma porządkami nauk.

...Błędem było by mniemać, że uczony trzymający się prawideł metody doświadczalnej, powinien tem samem odpychać od siebie wszelkie pojęcia a priori, a nakazując milczenie uczuciom swym, poddawać się tylko grubym wynikom doświadczenia“.

(Klaudiusz Bernard. Mowa akademicka).

„Jeżeli człowiek. może spodziewać się jeszcze nowego postępu, to sędzę że go jedynie przez medycynę tylko otrzymać potrafi“.

Des Cartes.

Prawdą jest niezbitą — stwierdzoną wiekami, że każdą teorię, każdą naukę, każdy przepis i radę, ocenia najlepiej praktyka życia, czyli zastosowanie. Tutaj jak z probierczego ognia, wychodzą tylko prawdy nietknięte — gdy wszelki fałsz i ułudne słów tkaniny płoną jako słoma, bez śladu.

Czem jest fizyologija, jaka jej moc i znaczenie, słowem jaka jej rzeczywista wartość, o tém się najlepiej przekonywamy z medycyny teoretycznej i praktycznej. Fizyologija bowiem, jest osią, jest podstawą, jest duchem tej umiejętności. Ona nadaje właściwie ton i kierunek całemu wydziałowi lekarskiemu — i wytyka drogę przyszłym lekarzom. I nie dziwnego, nauczając bowiem o życiu człowieka i jego objawach, powiada jak się na niego zapatrywać należy — i jak go sądzić. A ponieważ człowiek jest przedmiotem — badań i trosk medycyny; — jak więc nauczym się pojmować człowieka, tak się też z nim obchodzić będziemy i tak go też leczyć musimy koniecznie. Jest to wynik nieunikniony

Prawdy tej dowodzą dzieje wszystkich szkół lekarskich, jakoteż życiorysy pojedynczych lekarzy, od najdawniejszych czasów poczynawszy.

Stanu nieprawidłowego czyli patologicznego człowieka, nie jest nikt w stanie należycie rozpoznać i ocenić, nieznając stanu prawidłowego jego, czyli fizyologicznego. Cóż dopiero mówić o leczeniu, czyli naprawie złego? Możnaż sumiennie przystąpić do łoża chorego, nieznając tajemnic życia, jakoteż wpływów i potęg, któremi na niego działać możemy? Możnaż spokojnie zadawać mu leki, nieznając skutków ich i mocy?

Medycyna słowem, a mianowicie praktyka lekarska, najlepiej daje poznać światu, czym jest fizylogija, jakie jej stanowisko i rzeczywista wartość.

Rzućmy więc okiem na medycynę dzisiejszą. Nie ma zaiste w dziedzinie wszystkich nauk i umiejętności, nauki, którą by więcej i powszechniej była wciąż pomawianą o niemoc i niemowlęstwo, jak medycyna. Dziś już i dzieci nawet powtarzają nam starą jak świat piosnkę, że gdy wszystkie nauki, rozwijają się wciąż i postępują naprzód, tylko jedna medycyna stoi stale i wyjść nie może z zaklętych pieluch niemowlęstwa *).

Zarzut ten ostry i bolesny, jest niestety prawdziwym i widocznym dla każdego, co głębszem okiem spogląda na medycynę dzisiejszą.

A dziwna rzecz zaiste, iż tyle wydziałów, szkół i akademij lekarskich, tyle katedr i pracowni, tyle bibliotek, pism i wydawnictw, tyle towarzystw i krocie gorliwych pracowników po całym rozrzuconych świecie, pomimo swej osobistej ruchliwości, prac i usiłowań, medycyny w ruch wprowadzić przecie dotąd niezdolali; — rusza się ona bowiem i obraca, ale wciąż w koło, około osi, i choć

*) Upłynęło trzy tysiące lat od czasu jak Grecy zapuścili się po raz pierwszy w badania zmysłowego świata. Odtąd też same poszukiwania nieustannie były powtarzanemi; a jednak gdzież są postępy nauki, jeżeli je zważymy w wypadkach ogólnych, a nie zaś cząstkowych doświadczeniach?

Medycynę uznać wypada za jądro umiejętności przyrodniczych takich, właśnie jak je powinniśmy pojmować i jak się w swym czasie rozwija; jądro które od 15—20 wieków, przetrwało w łonie sztuki lekarskiej, w stanie zarodku. Historya naturalna postrzeżenia astronomiczne i od krycia geograficzne tych długich epok, stanowią bogate skarby ważnych wiadomości, ale nie zawierają w sobie klucza umiejętności życia". (Fryd. Szlegel „Filozofija życia“ str. 122 i 129 tom I.)

miewa swe dnie i nocy, ale ruchów koło słońca, nie odbywa wcale—do słońca się nie zbliża, dla tego też wiosny i lata nie miewa i plonnej nie przyrzeka jesieni.

Kto dziś wstępuje do świątyni Eskulapa, by w niej gorliwie pracować na pożytek ludzkości, straszne tam zastaje zamieszanie i chaos ¹⁾. Wszyscy nauczają, każdy teorye i poglądy swe ogłasza za prawdę, z tysiącznych warstatów i pracowni co chwila wylatują sprawozdania z nowych odkryć i doświadczeń, krocie dzieł, broszur i dzienników przepelnionych postrzeżeniami, sypie się w kosz ofiarny Eskulapa. I wszystko to ma być światłem dla medycyny i radą dla lekarzy.

Takiego wrażenia doświadczy każdy, kto rzuciwszy się na pole badań nauk lekarskich, będzie chciał ogarnąć ich całość i sprowadzić je do pewnej jedności, odpowiedniej ludzkiej naturze, kto będzie chciał doszukać się w medycynie, punktu środkowego, punktu oparcia czyli podstawy.

Nikt narzekać nie może dzisiaj, aby na polu nauk lekarskich w dziedzinie medycyny, nie było gorliwych pracowników, jest ich bowiem może stosunkowo daleko więcej, aniżeli na innych polach wiedzy. Dzieł, broszur i dzienników, jeżeli wedle druków sądzić będziemy chcieli działalność naukową medycyny, wychodzi co rok takie mnóstwo, że życie jednego człowieka nie wystarcza na przeczytanie tego, co w ciągu lat kilku nagromadzonem tu bywa, a cóż dopiero mówić o tém, co nagromadziły nam w tym dziale ubiegłe przed nami wieki, a przynajmniej ostatnie stulecie.

Żeby przynajmniej prace te i zdobycze gromadzone zostały w pewien systematyczny porządek, a poszukiwania dokonywały się jak w innych naukach, wedle pewnej stałej zasady, prędzej by z chaosu tego wybrnąć było można, ale brak głównej podstawowej zasady w badaniach lekarskich, musiał koniecznie sprowadzić tę

¹⁾ Prof. Virchów powiada: „iż w medycynie dotąd jeszcze są sprzeczności wybitne, szkoły walczą z sobą zacięcie, a lud zawsze jeszcze ma poglądy na chorobę i leczenie zupełnie niezgodne z tem, co podaje nauka“. (Mowa na 43 zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Innsbruku 1869 r.)

dowolność i rozsPECIALIZOWANIE, które ze świątyni wiedzy lekarskiej zrobiły dziś istne archiwum tureckie ¹⁾).

Jeźlibyśmy postęp jakiej nauki mierzyć chcieli rzeczywiście ilością wydrukowanych w dziale jej książek, broszur i dzienników, jakoteż ilością dokonanych w niej doświadczeń i postrzeżeń; pewnie by medycynę postawiono na pierwszym miejscu, gdy ona w postępie ostatnie zajmuje dziś stanowisko. Dość spojrzeć bowiem na astronomię, mechanikę, matematykę, fizykę, chemię i inne przyrodnicze nauki, aby się przekonać, jak one daleko odbiegły medycynę, jakimi prawdziwie olbrzymimi faktami dowiodły swego postępu i swej potęgi, i z jaką pewnością i dokładnością matematyczną dokonywają wciąż największych przedsięwzięć na ziemi.

Jeżeli kto ludzić by się chciał jeszcze wielkim postępow medycyny, tego porównanie to z naukami matematyczno-przyrodniczymi, na zawsze z ułud wytrzeźwi.

Dosyć zresztą jest dziś przysłuchać się rozprawom kilku posiedzeń lekarskich, w różnych stronach świata, aby się przekonać, że wiedza lekarska pisana dziś jest nie na kamieniu, nie na skale, ale na wodzie bieżącej, gdzie słowa fale rozbijają i roznoszą. Każdy przedstawia swoje spostrzeżenia i popiera pomyślnym z praktyki skutkiem leczenie swoje, gdy w rozprawach rzadko kiedy przychodzi do zgody wśród uczonego grona, bo przeciwności nie rzadko cieszą się tu pomyślnym w praktyce skutkiem.

Nie trudno było by nam zestawieniem opinij i mniemań najpierwszych dziś powag lekarskich, w zasadniczych punktach medycyny, wykazać chaos i zamieszanie w niej panujące, nie trudno było by nam oznaczyć krocie objawów, do niewiadomości których przyznajemy się otwarcie i — krocie takich, których nieznajomość pokrywamy tylko naukowemi teoryami.

Lekarze i pracownicy dzisiejsi na polu medycyny wiedzą jak krótka i niewdzięczna jest ich sława i panowanie. Sami w trwałość tego co nauczają nie wierzą. Wiedzą, że książka lekarska pięć lub ośm lat mająca, jest już za starą, i tylko historyczną posiada wartość.

²⁾ „O medycynie dzisiejszej powiada prof. Vichow: „Można powiedzieć, że zawsze nanowo potrzeba się porozumiewać, jakie jej jest istotnie obecne stanowisko, jakie stosunki mogą ją łączyć z naukami sąsiednimi a przede wszystkim, jakie winna sobie wyrobić stanowisko w życiu świata w wielkich dziejach postępu ludzkości“. (Mowa na zjeździe w Innsbruku r. 1869).

To są fakta, których nam nikt dziś zaprzeczyć nie zdoła, a fakta te dużo bardzo mówią.

Faktem jest również niezbitym, że *vox populi*, tj. publika nie lekarska, lekarzy nie sądzi i nie ocenia wedle nauki, ale wedle skutecznego, czyli szczęśliwego leczenia; nie uczony ma wziętość, ale szczęśliwy, to jest ten, co lepiej pomaga. Nie pieczęć akademii, ale skuteczność daje wziętość lekom.

Jakkolwiek sąd taki może się wielu bardzo niepodobać, nie jest on przecież pozbawiony słuszności, medycyny bowiem celem jest leczyć choroby; nie ten więc z lekarzy jest najlepszy, który najwięcej umie, ale ten, który najlepiej leczy; bo najlepiej odpowiada swojemu celowi.

Fakt ten mówi nam bardzo wiele, a mianowicie, że w medycynie nauki lekarskie i uczeność, nie jest jeszcze wszysktem, że trzeba czegoś jeszcze więcej jak nauki, by zostać prawdziwie dobrym lekarzem. Tylko młodość i uprzedzenie ludzi się mogą, że gdzie jest wiedza lekarska, tam praktyka i doświadczenie nie wiele już dla lekarza znaczą. Któryż bowiem z lekarzy, po kilku latach swej samodzielnej praktyki, nie może z uczonym doktorem Gregory'm powiedzieć: „że gdym wyszedł z uniwersytetu znałem dwadzieścia „dzieścia środków na każdą chorobę, gdy dziś znam dwadzieścia „chorób, na które żadnych nie posiadam leków“. Któryż z myślących lekarzy, nie widzi, jak teorye których słuchał na akademickiej ławce, dalekie są i obce rzeczywistości w praktyce, jak praktyka pobija tu często teorye i wykazuje ich efemeryczność, jak pewność w rozpoznaniach i rokowaniach lekarskich nakoniec jest nieujętą i trudną, dla sumiennego lekarza.

Rzeczy tych przykładami dowodzić nie potrzebujemy, były one bowiem i są za zbyt powszechne i znane, streszczając przecie to cośmy dotąd powiedzieli wynika: 1) że medycyna w porównaniu z innemi naukami, stoi w postępie najniżej, tak że nie wyszła prawie jeszcze z niemowlęstwa. Powtóre, że medycyna jako — zastosowanie, jako praktyka tj. wykonanie, nie tyle jest nauką ile sztuką lekarską. Że nauki lekarskie same przez się nie stanowią jeszcze sztuki lekarskiej, jak nauka rysunków i mieszanina farb, nie jest jeszcze sztuką malarstwa, artyzmem, w rzeczywistym tego słowa znaczeniu. Po trzecie, że pewność i dokładność w medycynie, nie da się nigdy z matematyczną oznaczać ścisłością, bo ustrój żyjącego człowieka, nie jest maszyną mechanicznymi środkami w ruch wprowadzaną.

Odpowiedź na te trzy punkta, może nam dać tylko fizyologia, która jakeśmy powiedzieli wyżej, jest osią i duchem medycyny. W niej szukać też winniśmy objaśnień i tłumaczenia tych ciekawych pytań, od rozwiązania których nie wątpliwie rozpoczną się dnię odrodzenia medycyny i jej rzeczywisty postęp. Z tego wychodząc stanowiska, postanowiliśmy zastanowić się tu bliżej nad obecnym stanem fizyologii, a pogląd ten będzie nietylko odpowiedzią na te trzy wyżej postawione pytania, ale i prawdopodobnym obrazem przyszłości tej pięknej nauki, tyle dziś świat naukowy zajmującej.

Nie wdając się tu w szczegółową historję rozwoju i postępu fizyologii, uznać przecież musimy, iż nauka ta więcej jak inne po wszystkie czasy ulegała wpływom panujących w świecie opinij filozoficznych. I nie dziwnego, mając bowiem za przedmiot badań swych człowieka — i nauczając o życiu jego, musiała koniecznie zmieniać swe poglądy, stosownie do postępów nauki, która zajmując się najwyższemi zagadnieniami człowieka i ludzkości, zwracała zawsze na siebie największą uwagę ludzi myślących.

Kierunek filozoficzny materyalno - doświadczalny francuzki, i racjonalno-krytyczny niemiecki ostatnich czasów, silnie oddziałał na rozbudzenie ducha badawczego i naukowego. Nauki fizyczne, mechaniczne i w ogóle przyrodnicze, jakoteż matematyczne, doszły w wieku bieżącym do najwyższego niemal szczytu.

Wszystko czem się wiek XIX. sławi i szczyci, ów olbrzymi postęp, owe wynalazki i odkrycia na ziemi i na niebie, że się tak wyrazimy, wszystko to zawdzięcza on naukom, do których kierunek materyalno-doświadczalny i racjonalno-krytyczny nadał się jak najlepiej. Były i są przecież nauki, które na kierunku tym skorzystały albo bardzo nie wiele, albo co gorsza straciły wszystko co lepsze i podnioślejsze, a do takich należą nauki humanitarne i w ogóle te wszystkie, w których sam człowiek jest przedmiotem badania a więc medycyna i fizyologia w szczególności.

O ile kierunek materyalny mógł się nadać do nauk materyalnych, mechanicznych i fizycznych, o tyle w naukach, człowieka dotyczących, musiał do gruntu zmienić istotę ich badań. Materyalista bowiem nie uznając nic prócz materji, przystępując do badań fizjologicznych, człowieka uważać musiał koniecznie za ciało, za materję. I stąd powstała szkoła materyalistyczna w fizyologii, której przedstawicielami dziś najgłośniejszymi są Vogt i Molechot.

Kierunek znowu racjonalno-krytyczny, który w naukach fizyczno-matematycznych takie położył zasługi i mechanikę do tak

wysokiej doprowadził doskonałości, nauki humanitarne wyziębł, a antropologiczno-fizyologiczne przez swój krytycyzm i specjalizowanie doprowadził do takiej niemocy, i rozsłprężenia, że choć części rozbite zostały opracowane, każda pojedynczo, to całość człowieka — człowiek sam — znikł zupełnie z przed oczów badacza.

Można w mechanice i w fizyce pracować oddzielnie nad pojedynczymi częściami i doskonalić się w nich stopniowo, całość zawsze z części złoży się doskonała i nic na prawdzie nie straci, rzecz się ma przecie zupełnie inaczej, gdy np. fizyologię wedle tej metody badać poczynamy, bo człowiek to nie maszyna, która się rozczłonkowywać na części pozwala i daje pojedynczo obrabiać, ale to całość, nierozdzielna, doskonała, i wcale różna od martwych i oderwanie badanych jego części.

Jestto pierwszy i najważniejszy bład obecnej fizyologii, że ta uległszy materyalnemu i krytycznemu kierunkowi wieku, na tej drodze szukać dla siebie poczęła postępu. Zachęcona świetnym i szybkim rozwojem nauk matematyczno-fizycznych i przyrodniczych, przystosowywać poczęła metodę ich badania do siebie, zapominając że nie wszystko w świecie daje się mierzyć i oceniać jedną miarą i wagą. Fizyologowie, którzy z zapalem pchnęli naukę swą na tę drogę badania, niedomyślali się snać nawet, jakie ztąd koniecznie wyniknąć muszą następstwa i wyniknęły.

Fizyologia, jako nauka jedna i cała, rozdzieliła się na anatomię, histologię, chemię fizyologiczną, fizykę lekarską, biologię, embriologię i t. d. Te znowu nauki składowe każda z osobna dzieliły się na części jeszcze specjalniejsze, które również jako oddzielne i samodzielne nauki występować poczęły. Ztąd powstała obok chemii, mikrochemia, obok fizyki nauka o cieple zwierzęcem i fizyka nerwów i t. d.

Rozdzielanie się to nauki jak fizyologia, na liczne działy, i ta specjalna, oderwana uprawa pojedynczych jej części, stała się za dni naszych niejako znamieniem uczoności i głębokości. Tak, że im kto w drobniejszej zamykał się cząstce jakiejś nauki, im więcej oderwanie od całości nad nią pracował, tem głośniejsze zyskiwał sobie imię i większą stawał się w nauce powagą. Namnożyło się tym sposobem mnóstwo specjalistów, którzy w badaniach swoich, ograniczając się tylko swoim przedmiotem, a raczej swą cząstką, nietylko że o nauce, do której ta ich cząstką należy, nie mieli należytego pojęcia, ale o innych naukach, z któremi się ona łączy i jest w bezpośrednim związku, żadnego nie mieli wyobrażenia.

Słusznie bo też powiada nasz uczony krytyk 1). „Że mechanizm „tak pożyteczny w ręcznych robotach, wielkie szkody zrządził „w naukach. Moc ducha na jedności zależy, w podziałach słabnie, „rozprasza się. Umiejętność szerząca się mechanicznymi środkami „poniża rozum ludzki.... Zdrobniały też w nas pojęcia, osłabła „usilność do wielkich rzeczy w zamęcie potocznych spraw społeczeńskiego życia, w nieprzebranem mnóstwie wiadomości, a najbardziej rozstrzeleniem nauk i „umiejętności na liczne działy“.

„Rzućmy okiem na dzisiejszą statystykę nauk. Co za ogromne drzewo wzrosło z pierwotnego szczepu. Jak wybujało, jak się „rozgałęziło. Jak szeroko ziemię teraz zalega cieniem swoim! I „coraz to nowe puszcza odrośle. Ledwo nie codziennie, w porządku „wiadomości naszych, mnoży się liczba działów i mnożyć się nie „przystaje. A za lat sto, za dwieście, któż wie czy potomkowie „nasi, przez całe życie swoje, do szkół, jako żaki, chodzić nie „będą musieli, dla nauczania się, przynajmniej z rejestru abecadłowego, nazwisk tylu umiejętności, tylu rozmaitemi pochrzczonych „tytułami? Każdą rzecz radziłyśmy obrócić w umiejętność; z lada „fraszki stworzyć naukę.... W tej mierze mam na względzie nie „tylko nas samych w Polsce, ale całą Europę“. Zdanie to głębokie i poważne ostrzeżenie naszego uczonego rodaka, wypowiedziane blisko przed pół wiekiem teraz dopiero w Europie pojmować poczynają poważniejsze umysły. Nie dawno bowiem głośny dziś światu autor „Historii Cywilizacji Anglii“ H. T. Buckle, w Instytucie królewskim w Londynie toż samo powtórzył 2). „Iż teraz podział „pracy do takiego doprowadzony już został stopnia, że grozi nam „niebezpieczeństwo większej straty na ogólności, niżli na dokładności badania. W poszukiwaniach za szczegółowymi prawdami, „zbyt narażamy się na skarlówanie naszych własnych „umysłów Skupiając uwagę, możemy ścieśnić nasze pojęcia i „nie dostrzedz tych wyższych punktów, do których byśmy się „wznieść mogli za pomocą rozleglejszego, chociaż mniej drobiazgowego badania“.

Kto tylko głębiej w rzeczy wnikać potrafi, ten rzuciwszy okiem na dzisiejszy stan nauk i metodę ich specjalizowania i podziałów, musi uznać iż prawdą jest, że moc ducha na jedności zależy, w podziałach słabnie, a umiejętność szerząca się mechanicznymi

1) M. Mochnacki „O literaturze“ str. 2 i 5.

2) Wpływ kobiet na postęp wiedzy.“

środkami poniżej rozum ludzki¹⁾. Ten nie posądzi o przesadę ani stronność Buckla, wołającego że „w poszukiwaniach za szczegółowemi prawdami, karłowacieje umysł ludzki“, bo są to fakta, co dzień się sprawdzające.

Nie mamy bynajmniej zamiaru, wdawać się tu w bliższą charakterystykę ludzi, którzy w chęci służenia nauce, w dobrej wierze sami ograniczają się w pragnieniach prawdy, a dla umysłu swego do chodu jedną tylko zostawiają ścieżkę; zwrócić jednakże musimy uwagę na szkodliwość metody, która poniżając i karłowacząc ludzkie umysły, tamuje rzeczywisty rozwój nauk człowieka mających na względzie. A któreż z nauk, jeżeli nie te, które człowieka samego biorą sobie za przedmiot badania, zasługują więcej na naszą uwagę i pieczę? Któreż więcej nas obchodzą i większej wymagają w badaniu baczności?

Źle więc służy prawdzie ten, kto dla „większej uczynności“ dobrowolnie poddaje się metodzie ścieśniającej jego umysł, bo nie tylko, że sam prawdy nigdy nie ujrzy, ale idących do niej, ciągnąć będzie imieniem nauki i głębokości, do swego poziomu.

Ubolewamy nieraz nad przesądem Indyan rzucających się w ogień na dowód miłości dla zmarłych, a cóż innego sami dziś robimy, karłowacząc dobrowolnie umysły swe, w ofierze dla nauki, zapominając, że jak umarli Indianie takich dowodów miłości bynajmniej nie wymagają, tak i prawda i nauka na niej wsparta, ofiar podobnych od nas nie potrzebują również.

Wiemy, że nie wszystkim ten sposób zapatrywania się przypadnie do przekonania, że nie mało znajdzie się ludzi, którzy z całym zapalem nie przestaną bronić starego, dotychczasowego porządku rzeczy, dowodząc korzyści, jakie nauki ze specjalnego i oderwanego badania przyniosły ludzkości i prawdzie.

Powiedzieliśmy wyżej i tu raz jeszcze powtarzamy, że na kierunku materyjalno-doswiadczałym i racjonalno-krytycznym zyskały tylko nauki materyjalne, tj. fizyczno-matematyczne i przyrodnicze, ale nauki humanitarne, antropologiczne i fizyologiczno-lekarskie, jeżeli skorzystały co w pojedynczych częściach, w szczegółach; to w całości straciły bardzo wiele. Rozprzężenie bowiem ogólne stało

¹⁾ Faraday znakomity angielski uczony, protestował też zawsze, jak powiada biograf jego (Tyndall) przeciwko rozdziałowi nauk fizycznych od filozoficznych i domagał się, by fizyków nie zwano jak teraz fizykami, ale filozofami jak nazywali starożytni.

się dziś ich najwybitniejszym znamieniem. W rozstrzeleniu się swem na części, zgubiły one środek równowagi i pojęcie całości, bez którego w naukach człowieka mających na względzie nie ma i nie może być nigdy żadnej prawdy, a tém samem i rzeczywistej umiejętności. Może być lepianka i zbieranina części, ale nie będzie całości, jak mieszanina wodoru i tlenu nie jest jeszcze wodą i najmniejszego o niej nie daje nam pojęcia, choć własności pojedynczych tych dwóch gazów pojedynczo i oddzielnie doskonale zostały zbadane i są nam znane.

Jeżeli maszynę można rozłożyć na pojedyncze części i później z części tych złożyć całość i w ruch ją wprowadzić, to z człowiekiem tak postępować niepodobna, bo człowieka żyjącego dzielić można tylko w myśli, idealnie, ale nigdy w rzeczywistości. Człowiek rozdzielony w rzeczywistości, na nerwy, kości, mięśnie, mózg, płuca i t. d. i tak badany, to już nie człowiek żyjący, ale trup. Człowiek w rzeczywistości rozdzielony na dusze i ciało, to umarły, to martwe ciało.

Nigdzie mechaniczny ten podział w badaniu i rozspecyalizowanie na pojedyncze działy nie okazał się tak błędnym i szkodliwym, jak w fizyologii, nauka ta bowiem mając za przedmiot dociekań swych: Życie człowieka i jego objawy rozpoczyna badanie swe od śmierci, bo od rozdzielenia człowieka na części, dla specyalnego ich śledzenia.

Z anatomii bowiem, histologii, macro- i microchemii fizyologicznej i fizyki lekarskiej wzbogaconych z osobna, nawet w mnóstwo odkryć i doświadczeń, któż zdoła wytworzyć sobie chociażby najślabsze pojęcie o życiu ludzkiego ustroju, kiedy części te, nie tylko, że nie przystają do siebie i ożyć nie chcą, ale ich żywi badacze, histolog, chemik i fizyk sami ani siebie nawzajem zrozumieć, ani całości, dla której pracowali, pojąć nie są w stanie.

Zdarza się nawet i tak, że niekiedy w zaciętej bywają z sobą walce o pierwszeństwo w zasługach, lub stanowisko swego przedmiotu w nauce. Był czas, że fizykom np. zdawało się, że odkryciem prądów elektrycznych w nerwach, odkryli tém samem tajemnicę życia naszego. Wołali wtedy, że oni są pierwszą potęgą fizyologii. Przyszło z kolei panowanie chemii. Otrzymanie przez Wöhlera drogą sztuczną mocznika, zdawało się niektórym odkryciem tak wielkiem, że nie tylko zburzyło ono na zawsze wszelkie pojęcie o sile żywotnej, ale otworzyło pole do badań i stanowczego wyjaśnienia zjawisk życia ludzkiego. Chemia była wtedy wszech-

władną panią fizjologii 1). Dawnoż nakoniec, jak histologia, ogłosiła komórkę za alfę i omegę wszelkiego życia, chcąc celularną metodą, tłumaczyć wszystkie zjawiska i tajemnicę życia naszego? Sława epoki tej jeszcze do dziś się utrzymuje. Widzimy, jak zacięty bóg prowadzi ona o pierwszeństwo swe w fizjologii 2).

Dnie chwały takiej i panowania bywają krótkie, ułudy i pragnienia specjalistów rozwiewają się, przy zastosowaniu ich odkryć i teoryj do całości żyjącego ludzkiego ustroju.

Nie wszystko bowiem, co wretorcie, pod drobnowidzem lub na stole fizyka dzieje się składnie, daje się widzieć i dobrze tłumaczyć, odbywa się tak samo w ludzkim ustroju, gdzie razem wszystkie czynniki współdziałają.

Słusznie też bardzo powiada G. H. Lewes 3), że „budując most albo maszynę możemy z całą dokładnością obrachować siłę i wytrzymałość drzewa lub żelaza; materje te bowiem nie wejść w żadne nowe połączenia, któreby natychmiast zatargły obecne ich własności. Rozbierając atoli tajemniczy układ ciała ludzkiego, nie możemy wcale (albo bardzo mało) opierać się na własnościach,

1) Prócz odkrycia Wöhlera w r. 1828 dokonanego, Berthelot w r. 1856 otrzymał sztucznie Kw. nirowczany z Cenu węgla i wody przez ogrzewanie z wapnem gryzącem, później znów otrzymał także uczony ten alkohol winny i butyryn. Odkrycia te przecież nie dowodzą bynajmniej, by ustrój ludzki był tylko szklaną retortą, jak chcą materyaliści tłumaczący życie wyłącznie siłami fizyczno-chemicznymi.

2) O tem anatomiczno-histologicznem dążeniu tłumaczenie zjawisk fizjologicznych Liebig słusznie powiada: „że anatomia sama przez się tylko cząstkowe rzucała światło na prawa objawów żywotnych, bo samo poznanie przyrządu destylacyjnego nie naucza jeszcze nic, o jego przeznaczeniu, że o wielu sprawach organicznych toż samo powiedzieć można co o destylacji, gdzie ten co zna własności ognia, prawa udzielania się ciepła, prawa parowania, skład mieszaniny przeznaczonej do przekroplenia i produktu destylacji, nieskończenie więcej wie o niej (destylacji), aniżeli nie tylko ten, co zna przyrząd w najdrobniejszych jego częściach, ale nawet nieskończenie więcej, aniżeli sam kotlarz, który przyrząd sam zbudował“.

„Jeżeli anatomiczna wiedza ma służyć do rozwiązywania fizjologicznego zadania, to do tego trzeba jeszcze czegoś, a najbliższem jest nie wątpliwe poznanie wątku stanowiącego tło postaci, siły i własności, które obok żywotnych posiada poznanie źródła tego wątku zmian, którym podlega dla nabycia żywotnych własności. Nareszcie konieczne znać trzeba stosunki zachodzące, pomiędzy wszystkimi częściami składowymi ustroju, płynnymi i stałymi, bez względu nawet na ich postać“.

(Nowe Listy o chemii). tom. Dr. Natanson str. 60.

3) Fizjologia codziennego życia str. 53 i 57.

jakie np. pokarmy posiadają na zewnątrz ustroju; gdyż ciało zwierzęce jest tutaj ważnym czynnikiem: zarówno ono oddziaływa na pokarmy, jak i znosi ich wpływy, zarówno niszczy, jak i rozwija własności istot wprowadzonych do jego wnętrza. Objasnia to nam dla czego wszystkie teoryje, w których o tem zapomniano, obok całej ich ścisłości i dokładności, okazały się w zastosowaniu tak błędnymi“

„W objawach żywotnych znajduje się coś odrębnego, co przekracza granice badań chemicznych. Bo też nie potrzebujemy wiedzieć czem jest życie i na czem się opierają jego objawy, aby orzec stanowczo, że jest czemś innem od tego, co się odbywa w pracowniach chemicznych, i że objaśnienie jego wymaga innych praw, aniżeli tych, jakich nam chemia dostarczyć może. Rozbiór chemiczny nerwu, nie zdoła nigdy wytłumaczyć, czem jest wrażliwość, również jak formułki chemiczne, nie są w stanie objaśnić kształtów i własności komórek. Maszynę możemy rozebrać na kawałki i zapomocą praw fizycznych wytłumaczyć działalność każdego kółka lub gwoźdźcia, lecz organizmu nie zdołamy nigdy rozebrać na części i zapomocą praw chemicznych nie określimy całej jego działalności. Weźmy przykład: oto mamy przed sobą jajo zwierzęce, drobnowidzową małą bryłkę, złożoną z materij znanych chemikom i potencjonalnie zawierającą w sobie przyszłe zwierzę; z bryłki tej powstanie ustrój, który oprócz tego, że będzie miał wszystkie kształty, postać, głowę, główne rysy i gatunkowe cechy swoich rodziców, zachowa także ich przyzwyczajenia, dążności, znamiona i t. d. Niechże chemia poszczyci się czemś podobnem w całym zakresie, rozległej swej dziedziny. Niechże próbuje objaśnić ten tak zawikłany objaw? Rozbiór chemiczny może nas doprowadzić do progu świątyni życia, lecz w chwili, gdy próg ten przekroczymy, przewodnictwo chemii całkiem ustaje. Tutaj spotykamy cały szereg nowych objawów, które jeżeli zdołamy objaśnić, to tylko wedle innych praw, w odmienny odkrytych sposób“.

To co powiada Lewes o chemizmie tj. o metodzie wyłącznego tłumaczenia zjawisk fizyologicznych zapomocą chemii, wykazując bezsilność i nielogiczność podobnego sposobu zapatrywania się, toż samo pisze on i wylącznej metodzie fizycznej.

„Napotkamy bowiem, powiada on dalej 1) na trudności, jeżeli zechcemy objawy żywotne objaśniać zapomocą samych

1) Str. 277 tamże.

tylko praw fizycznych. Wszystkie hipotezy, zbudowane na tej jedynie podstawie nie tylko nie znajdują poparcia w doświadczeniu, lecz pierwsze lepsze je obali. Tak rozumując, zapominamy bowiem o tem, że we wszystkich objawach żywotnych, ustroj bierze czynny udział i zmienia prawa fizyczne“.

O metodzie anatomiczno-histologicznej czyli celularnej zastosowywanej z kolei do tłumaczeń zjawisk żywotnych, da się to samo powiedzieć, co wyrzekł Lewes o wyłącznej metodzie chemicznej i fizycznej. Nie wszystko bowiem życiem i przeobrażeniem się komórki wytłumaczyć się daje. Komórka bowiem między szklami drobnowidzowymi, w innych znajduje się warunkach, jak w żyjącym ustroju. Życie komórki uwarunkowane jest życiem organizmu, nie wszystko więc, co widzimy w martwej tkance na polu drobnowidzowym, bywa i zachowuje się tak samo w nienaruszonej całości i życia naszego ustroju.

Któż z najmniej obeznanych z badaniami drobnowidzowymi, nie wie, jak często wielka zachodzi różnica, pomiędzy widzianym obrazem drobnowidzowym, a rzeczywistością. Wpływy chemiczne i fizyczne powietrza, w których się doświadczenia histologiczne odbywają, a których przy największych nawet ostrożnościach w przygotowywaniu drobnowidzowych okazów, mimo specjalnych kamer, ustrzedz się nie jest podobna, wielką tu odegrawają rolę. Parowanie, działanie chemiczne i wsiąkanie i wysiękanie, zmieniają często niedopoznania prawidłowe kształty komórek.

Tutaj to, a nie gdzieindziej szukać należy w historii badań drobnowidzowych, tyle ułudnych odkryć, które nie dłuższą, jak Lorsdorferowskie, niedawne ciała cieszyły się sławą.

Badania drobnowidzowe, po za żyjącym organizmem dokonywane, na tkankach martwych, jakkolwiek dokładnie dały nam poznać szczegółową budowę przeróżnych tkanek naszego ustroju, jakoteż ich własności i zachowywanie się względem licznych oddziaływań chemicznych i fizycznych, nie zdobyły sobie jednakże tem jeszcze prawa do wyrokowania o zjawiskach życiowych ustroju naszego, a tem mniej do tłumaczenia ich swymi zdobyczami. Jeżeli bowiem śledzenie życia komórkowego w żyjącym ustroju trudnem jest niesłychanie, to zupełnie niepodobnem jest, wynikami badań komórek martwych, tłumaczyć najzawilsze pytania życia ludzkiego, jak to usiłują dziś robić, fizyologowie-, anatomo- histologiczni. Tysiączne albowiem przykłady z dzisiejszej fizyologii przekonywują nas jak najdowodniej, ile zwodniczym i mylnem jest na

mocy tego co się dzieje na zewnątrz organizmu, wnosić o tem, co się w jego wnętrzu dzieje.

Lewes np. zwraca uwagę na to 1), że Bidder i Schmidt twierdzą, że ślina przeszkadza trawieniu skrzepłego białka, gdy Donders wykazał, że gotowane mięso prędzej się trawi, kiedy sok żołądkowy zmieszany jest ze śliną, aniżeli wtedy gdy sam na nie działa. Donders robiąc doświadczenia na Estonce przekonał się także, że skrzepłe białko daleko prędzej się trawiło, kiedy sok żołądkowy przez dodanie śliny był nieco alkaliczny. Słuszną też wyż cytowany fizyolog robi z tego powodu uwagę: „Że te dwa sprzeczne twierdzenia ludzi, których przecież posądzać niemożemy o niedokładność w badaniach wykazują, jak nie właściwem jest wyprowadzać wnioski z tego, co się dzieje zewnątrz ustroju, i odnosić je do tego, co się w jego wnętrzu odbywa“ 2).

Przykładów takich, jak ten o działaniu śliny przy trawieniu się skrzepłego białka, moglibyśmy mnóstwo tu na przywozić na dowód, że z oderwanych, poza ustrojem dokonywanych badań t. z. fizyologiczno-histologicznych, fizyologiczno-chemicznych i fizyologiczno-fizycznych; całości fizyologii tj. nauki, która by była w możności tłumaczyć zjawiska życia, złożyć jest niepodobieństwem. Przechodzi to siły i pojęcie ludzkie, a nawet wobec logiki zdrowego rozsądku, dziwnem się wydawać musi żądanie to, by oczekiwać tego, czego się nie sadi, lub z ziarna pszenicznego chcieć otrzymać jabłonkę. Jeżeli bowiem, jakeśmy powiedzieli wyżej, ze szczegółowo i oddzielnie badanych, wodoru i tlenu, lub chloru i azotu, nie można sobie utworzyć najmniejszego nawet pojęcia o wodzie lub chlorku azotu, tak całość różną jest i niepodobną do swoich części, o ileż w żywym ustroju naszym różnica ta martwych części od żywej całości musi być i jest większą, od obu zacytowanych tu związków chemicznych? Bo jeżeli ciała martwe, pojedynczo brane, jako części składowe, tak są różne od całości, że w niej tracą zupełnie swe osobnicze własności, toż przecież dziwić nie powinno nikogo, że zjawiska życia nie naruszonego ustroju naszego, nie mogą być brane za jedno ze zjawiskami, jakie z obrabiania części jego martwych w pracowniach histologicznych, chemicznych i fizycznych otrzymują dziś fizyolodzy.

Bo to rzecz z treści i formy zupełnie inna.

1) Fizyologia str. 154. Donders Physiologie I. 210.

2) Fizyologia str. 155.

Pojęcie całości i niepodzielności człowieka żywego, powinno być zawsze podstawą, punktem wyjścia, dogmatem dla fizjologii. Powinno przewodniczyć wszystkim jej pracom, doświadczeniom i teoryom. Fizjolog zeszedłszy raz z tej drogi, popada w ciemności i chaos i mija się zupełnie z celem swych badań i z prawdą. Słusznie też powiada jeden z głębokich myślicieli wieku naszego, o ludziach tych krytycznego ducha, „że skoro im tylko jaki przedmiot popadnie w ręce, zaraz go rozbierają. Ale jedno opuszczone miejsce całą ich pracę narusza, w razach zaś kiedy rozbiór bywa całkowity, zapominają, że przedmiot przez nich rozebrany jest jeden, że każda z jego części znajduje się z drugimi w ścisłym związku, i że na koniec, jeżeli na to nie zwrócą uwagi, wtedy i arcydzieło nawet z łaski ich, w niedorzeczność zamienić się może“ ¹⁾).

Duch wieku krytyczny i dzielący wszystko, owiał tak badaczy, że nawet fizjologowie nie liczący się wcale do obozu materialistów, ulegając mu, w nauce jako metodzie, zostali w końcu materialistami i gorliwie doktryny jego propagują.

Byli bowiem i są do dziś fizjolodzy, którzy stanowczo i kategorycznie wypowiadają, iż nie uznają i nie wierzą w żadną w człowieku stronę nie materialną, nie śmiertelną, słowem duszę, iż dla nich człowiek jest tylko ciałem, materją.

Ciludzie dzieląc człowieka w badaniach swych fizjologicznych na części, w błędzie swym są przynajmniej konsekwentni, bo zerwawszy zupełnie z prawdą o człowieku i z pojęciem rzeczywistej fizjologii, uważając człowieka za maszynę, po mechanicznemu wzięli się do jej badania.

Rzecz inna przecież z tymi fizjologami, którzy wierząc i uznając w człowieku nie materialną duszę, stawiają ją w badaniach życia ludzkiego na tak neutralnym gruncie, jakżeby ona w życiu i na życie człowieka żadnego nie miała wpływu i znaczenia, jakżeby ją jak szpilkę z ubrania lub futerał z książki bez zmiany istoty rzeczy usuwać było można na stronę w czasie badania.

Błąd ten popełniają nawet bardzo poważni fizjolodzy, dowodząc „iż przedmiotem fizjologii jest ta strona życia człowieczego, która wspólną nam jest ze zwierzętami, gdy do psychologii należy to, co nas różni od nich“ ²⁾).

¹⁾ J. Balmes. O sposobie osiągnięcia prawdy str. 70.

²⁾ Longet „Traité de Physiologie T. I. str. YXVIII.

Uczeni ci, (kto się głębiej wczyta w ich dzieła) więcej też idą za rutyną, aniżeli za prawdą, trudno bowiem przypuścić, aby uczony, jak Longet, nie wiedział tego, o czem wie każdy człowiek z gminu, jak wiele namiętności i duchowy stan człowieka tj. życie jego umysłowe i duchowe, wpływa na ciało, zdrowie i czynności czysto cielesne i fizyologiczne ustroju naszego. Jak trawienie, np. krążenie i wydzielanie, zmieniają się pod wpływem umysłowego i moralnego stanu człowieka. O tem niżej pomówimy obszernie, tutaj przecież chcemy zwrócić uwagę na to, że wierzących i niewierzących w duszę człowieka fizyologów, podział ich nauki na części i oddzielne tychże badanie spycha fizyologię z poważnego stanowiska nauki o zjawiskach życia ludzkiego, do poziomu zbierania różnych wiadomości o ciele ludzkim. Tak się ona nam dziś przedstawia i tak ją pojmują uczeni, którym żadna z gałęzi umiejętności ludzkich nie jest obojętną, chociaż się jej specjalnie nie oddają. Pisze np. T. H. Buckle w swej „Historji Cywilizacyi Anglii“ 1). „Niektórzy pisarze uważają fizyologję jako naukę o prawach życia. Wszelako zdanie takowe w obecnym stanie rzeczy, jest za nadto śmiałem; wiele bowiem gałęzi umiejętności potrzeba jeszcze podnieść z ich teraźniejszego empirycznego stanu, nim będzie można objawy życia czysto umiejętnie zgłębiać. Najlepiej zdaje się byłoby uważać fizyologję i anatomię, jako uzupełniające się wzajem; pierwsza bowiem stanowi część dynamiczną, druga statyczną nauki o budowie organizmu“. Dziwi się dalej uczony ten: „iż zważywszy ów długi przeciąg czasu, w którym oddawano się nauce fizyologii, że fizyologowie tak mało zbliżyli się do ostatecznego celu wszelkiej umiejętności“ 2).

Nas to przecież nie dziwi i wydaje się zupełnie naturalnem, jako konieczny skutek obranego dziś kierunku w fizyologii i drogi badania wedle niego człowieka. Na złej drodze człowiek zawsze oddala się „od ostatecznego celu wszelkiej umiejętności“, a drogą tą tutaj, jest owo dzielenie fizyologii na liczne samodzielne umiejętności, i oderwana i oddzielna ich od całości uprawa. To wedle nas jest pierwszym znamieniem obecnego stanu fizyologii.

Drugą wybitną charakterystykę jej stanowi racjonalizm i materyalizm, tj. kierunek czysto rozumowy i zmysłowy. Tutaj kie-

1) Str. 143. Tom I.

2) Tamże str. 145.

runek ten stał się nietylko metodą, ale był zasadą główną, przewodnią w badaniach fizyologicznych.

Sprawa to nieskończenie ważna, zastanowiemy się też nad nią tutaj szczegółowo. Od dokładnego bowiem i gruntownego jej zrozumienia, zależy należyte pojęcie nietylko fizyologii, ale i nauk antropologicznych.

Nie wdając się tu w szczegółowy historyczny rozwój badań filozoficznych i psychologicznych o człowieku, bierzemy z nich główne wyniki, które szczególnie w filozofii polskiej najwybitniej w prawdę ujęte zostały.

Wyniki te przeważnie odnoszą się do poznania człowieka, tj. do jego składu.

Dotąd głównie jak wiadomo dzielono człowieka na ciało i duszę; co zaś przez duszę tu rozumieć należało, każdy sobie po swojemu rzecz tę inaczej tłumaczył. I tak jedni uważali duszę za wynik czynności fizyologicznych ustroju, drudzy za materię bardzo delikatną, nieważką, jak ciepłik lub elektryczność, inni a mianowicie psychologowie—idealiści, za myśl, za umysł: byli w końcu i tacy, co uważali ją za pierwiastek duchowy, nieśmiertelny, ale nie odróżniali od niego umysłu, myśli. Słowem chaotyczne pojęcie tej podstawowej sprawy stało się, zdaniem naszym, powodem głównych błędów i zamętów wszystkich niemal dotąd systematów filozoficznych. W człowieku bowiem nie dualizm ale trinizm jest składową zasadą. Człowiek składa się z ciała, umysłu i duszy — lub jak chce uczony prof. Tyszyński z ciała, myśli i ducha, albo jak inni jeszcze powiadają: z ciała, duszy i ducha 1).

Życie człowieka objawia się też w trzech sferach, a mianowicie: 1) cielesnej czyli zmysłowej, 2) umysłowej czyli intelektualnej i 3) duchowej czyli mistycznej-intuicyjnej.

„Całość istoty ludzkiej jako całość, powiada prof. Tyszyński 2) jest to zapewne je dnoś ć; wszystkie części składu człowieka zlewają się z sobą i łączą. Zmysły nasze są niczem bez myśli, możemy np. przejść przez pokój i widzieć go a jednak nie widzieć żadnego szczegółu jego (np. gatunku mebli pokrycia i t p.), jeśli nie zwrócimy na to uwagi myśli; gdy zamyśleni

1) „Trzy pierwiastki tj. duch, dusza i ciało stanowią ludzką istotę“ pisze Frd. Szlegel w swej „Filozofii Życia“ T. I. str. 126.

2) „Pierwsze zasady krytyki powszechnej“ A) człowiek i jego skład str. 60, 61 i 62.

jesteśmy, możemy nie widzieć osób przechodzących, nie słyszyć uderzenia zegara i t. p. . . . zarówno więc w całości człowieka zależne są od siebie jak ciało i myśl od ducha, tak niekiedy duch od ciała, ciało od myśli i t. p.“

„Iż co innego jest duch znowu a co innego ciało, najlepszym dowodem jest to, iż duch nieraz czuwa i działa kiedy uspione jest ciało, (np. we śnie). Że dalej co innego jest myśl a co innego jest duch, dowodem najprzód jest to; iż cząstka nie jest to całość, dowodem powtórne jest to, iż są stany tak zwane psychiczne, w których to wszystko prawie, co jest w myśli podległe rozwinięciu, jako pamięć, sąd, rozum i t. p. jest w człowieku razem z ciałem uspione, a ma miejsce lub samo bujanie obrazów, lub obecność pojęcia nieograniczonego więzami ciała tj. czasu przestrzeni i t. p. (jak np. w somnabulizmie, lunatyzmie, jasnowidzeniu i t. p.) i wreszcie dowodem najwybitniejszym jest to: iż są nieraz wypadki, w których jednocześnie co innego działa duch (wola duchowa), a co innego myśl. Wypadków takich jest wiele, a dosyć dla objaśnienia tu wspomnieć na stany artyzmu, prorocтва i t. p. Wieszcz i prorok nieraz co innego myśli wyrażać, a co innego wyraża . . . Podobnych faktów tj. działania pierwiastku ducha nie zależnie od pierwiastku myśli, pełne jest owszem życie każdego człowieka, lubo w różnych rodzajach i stopniach“¹⁾.

„Co innego więc jest w człowieku każdym myśl sama a co innego sam duch. Duch owszem jest to jak widzimy ciało wieku, pierwiastek wśród głównych główny, jest to pierwiastek rządzący, jest to ta część człowieka, która mimo odmiany myśli, pozoru jest w nim wewnątrznie niezmienna i jest głównie nim samym, tj. stanowi znaczenie, charakter, zasługę lub hańbę jednostki“.

„Ztąd też lubo te trzy pierwiastki: ciało, myśl, duch, jako pierwiastki i cząstki jednej całości, łączą i mieszają owe właści-

¹⁾ Prof. Tyszyński przytacza przykład z własnego doświadczenia:

„Znajdując się, pisze on, na dni kilka w obszernem a nie znanem mi mieście, odwiedzałem w niem codziennie w wieczór jednego ze swoich znajomych daleko mieszkającego. Pierwszego dnia zamysłonym będąc, wróciłem prędko i bez omyłki do siebie, nazajutrz kiedy się zasta nowił, któregoś mam iść, błędziłem i tak bywało co dnia; ciało wtedy wykonywało zamiar ducha kiedy nie przekazywała mu myśl; przebudzenie myśli wśród lunatyzmu może je stracić w przepaść“. (Zasady i t. d. str. 62 w przypisku).

wości, wszystkie jednak mowy potoczne, różne stosują wyrażenia do różnych ich stanów. Tak np. wyrażamy w języku naszym, iż w każdej jednostce ludzkiej:

„Siedliskiem uczuć ciała są zmysły
„Siedliskiem władz myśli jest umysł
„Siedliskiem ducha — sumienie.

„Stanem doskonałości ciała jest piękność
„Stanem doskonałości myśli jest mądrość
„Stanem doskonałości ducha jest świętość.

„Stan znowu upadku ciała zowiemy szpetność
„Stan upadku myśli zowiemy głupstwo
„Stanem upadku ducha — grzech“.

„Każde też pojęcie zrozumiemy powiada prof. Tyszyński, skoro się powie, iż co innego jest siła ciała, co innego siła myśli, a co innego siła ducha; co innego cierpienie ciała, co innego cierpienie myśli, a co innego cierpienie ducha; co innego rozkosze ciała, co innego rozkosze myśli, co innego rozkosze ducha; iż wreszcie, co innego jest śmierć ciała, co innego śmierć myśli (idiotyzm, sen, przed skonaniem i t. p.), co innego śmierć ducha“.

„Trzy więc są główne pierwiastki, kończy uczony profesor, które składają człowieka: ciało, myśl, duch, a rozwój ich czyli ich przejście od urodzenia do śmierci, stanowią właśnie szczegól życia człowieka.

Zacytowaliśmy tu unyślnie dosłownie w sprawie tej słowa prof. A. Tyszyńskiego, aby na ten punkt ważny naszej pracy większą zwrócić uwagę czytelnika, pisarz to bowiem, filozof i krytyk bardzo głęboki i poważny i zasobny w wiedzę. Powaga więc taka dla ludzi naukowych nie może być nigdy obojętną.

Nad sprawą tą przecież potrójnego składu człowieka, którą obecnie tutaj poruszyliśmy, nierównie obszerniej zastanawialiśmy się już na innem miejscu ¹⁾ gdzie szczegółowo dowodziliśmy jej prawdziwości.

¹⁾ W rozprawie „O trzech sferach życia ludzkiego i wzajemnem ich na siebie wpływie“.

Teraz chcemy zwrócić tu uwagę głównie na wynik tej prawdy a mianowicie, że jak potrójny jest skład człowieka i potrójne życie jego, tak i potrójne są nasze drogi poznawania; przez zmysły, przez umysł (myśl) i przez natchnienie, albo jak się wyraża jeden z doktorów kościoła „że ciało widzi przez zmysły, pojęcie (umysł) przez rozum, a duch przez wyobraźnię“ 1).

Podobny sposób zapatrywania się na drogi poznawania człowieka, nietylko, że zdobyty został pracą długich dociekań filozoficznych i postrzeżeń psychologicznych, tak że stał się dziś ich ostatnim wynikiem, ale ma on za sobą i tradycję wiary i największe powagi naukowe starożytne i nowe.

Platon np. uważał człowieka jako złożonego z duszy myślącej, która ma siedzisko swe w mózgu, z duszy czującej będącej w sercu i pożywej mającej siedzisko swe w wątrobie.

Arystoteles dzielił podobnie duszę na czującą i myślącą, odróżniał jednak myśl od duszy, jak słusznie zwraca na to uwagę prof. Tyszyński, kiedy w traktacie o duszy szydzi z Demokryta, iż ten duszę i pojęcie brał za jedno.

Znakomity nasz filozof A. Cieszkowski sprawę tę głęboko wyłożywszy w rozprawie swej O drogach ducha zwraca uwagę, że cała nasza literatura natchniona jest duchem tej zasadniczej prawdy o człowieku. I słusznie, czytamy bowiem np. u Jakóba z Gostynina z XV. wieku takie zdanie „omnis anima nobilis (człowiek) tres habet operationes; operatio animalis, operatio intellectualis, operatio divina; co właśnie odpowiada naszym trzem sferom życia ludzkiego; zmysłowej, umysłowej (intelektualnej) i duchowej.

W pismach znowu Grzegorza z Sanoka, jak zobaczymy później znajdujemy zdania takie, które teraz dopiero Klaudyjusz Bernard, Tyndall i Buckle wypowiedzieć się odważyli, wskazując nowe drogi dla nauk i umiejętności.

Trzy te sfery życia, trzy te źródła poznawania, choć różne są jakieśmy mówili od siebie, zlewają się przecież w człowieku w jedną doskonałą całość, w jedność harmonijną.

Doskonałość człowieka, jego moc działania i zdrowie, czyli stan prawidłowy człowieka, w pełnym tego słowa znaczeniu, zależy od harmonii składników, a harmonia od porządku, który na tem

1) S. Augustyn. *Sup. genti* t. XII, 7.

polega jakieśmy powiedzieli, „że duch w człowieku jest śród głównych głównym pierwiastkiem, jest to pierwiastek r z ą d c a, jest to ta część człowieka, która mimo odmiany my ś l i p o z o r u, jest w nim wewnątrznie niezmienna i jest głównie nim samym. Tak, że jeśli skład człowieka przedstawia formuła d u c h, c i a ł o i m y ś l, to bieg tych pierwiastków, czyli ramy życia ludzkiego, przedstawia formuła taka:“

$$\text{Duch.} \left\{ \begin{array}{l} \text{Ciało,} \\ \text{Myśl.} \end{array} \right. \quad 1)$$

Inaczej jeszcze: porządek, o którym mowa, na tem zależy, ażeby w jedności tych trzech części składowych d u c h zachowywał zawsze hierarchiczne pierwszeństwo r z ą d c y, któremu u m y ś l i c i a ł o podlegać winny, jako tej części, o której już Plato w Tymeuszu powiedział, że ona właściwie człowieka czyni człowiekiem. Dalej aby wszystkie te trzy części niewychodziły nigdy z jedności, tj. oddzielnie nie występowały, lub inne w hierarchicznym porządku zajmować usiłowały stanowisko; w każdym bowiem z tych wypadków, nadwergęza się przyrodzony rzeczy porządek, powstaje chaos, dysharmonia i nieprawidłowy stan człowieka.

Prawda i moc ducha na jedności zależy, w podziałach słabnie i rozsprzęga się.

Wszystkie dotąd systemata filozoficzne i metody badania od początku świata, wszystkie teorie i zapatrywania się i oceny rzeczy i spraw ludzkich, aż po dzień dzisiejszy, są odzwierciedleniem tylko tych różnych stanów natury ludzkiej, która od chwili upadku w ciągłej znajduje się walce i pracy na powrót zerwanej harmonii.

Materyalizm, racjonalizm i mistycyzm, oto trzy główne rdzenne zasady, z których powstały wszystkie dotąd znane nam systemata i metody filozoficzne od najdawniejszych czasów począwszy.

Opieranie się wyłącznie na ciele, na świadectwie zmysłów, uznawanie tylko tego za rzeczywistość i prawdę, co się oczami widzi a rękami czuje, zrodziło materyalizm i sensualizm, w znaczeniu naukowem i praktycznem.

Uznawanie znowu rozumu za najwyższy i jedyny czynnik życiowy człowieka, za jedyną drogę poznawania i jedyne kryterium

1) Tyszyński. Z a s a d y 63 i 67. T. I.

prawdy, tak, że świadectwo zmysłów i odczuwanie prawd drogą natchnień i wiary, czyli drogą zmysłową i duchową (mystyczną), poczytano za złudzenie, nie mające żadnej rzeczywistości, zrodziło suchy i zimny racjonalizm, który rozumem chciał przeniknąć wszystko i stworzyć wszystko. Absolutyzm ten rozumowy skruszył wszelkie powagi, zmazał wszelkie prawdy, których pojąć nie zdołał, i od dni swoich rozpoczął nową erę wyłącznego panowania rozumu.

Mistycyzm nakoniec, zrodził się z wyłącznego tylko uznawania drogi duchowej, drogi natchnienia i wiary, za jedyną drogę poznawania człowieka, z odsunięciem zupełnem świadectwa zmysłów i powagi rozumu. Opieranie się więc wyłączne na indywidualnem natchnieniu, na owym głosie wewnętrznym w człowieku, który często bywa prawdziwym i rzeczywiście natchnionym ale też bardzo często może być błędnym i nawet ułudnym, a pogardzanie systematyczne świadectwem zmysłów i światłem rozumu, stworzyło ten błędny bo jednostronny mistycyzm, którego przecież, jak to robią niektórzy, nietylko za jedno z idealizmem, tj. racjonalizmem brać nie należy, ale i mieszać go też nie można z prawowitym mistycyzmem tj drogą duchową, intuicyjną bezpośredniego pojmowania prawdy, która przecież ani świadectwem zmysłów, ani światłem i powagą rozumu nie pogardzała nigdy.

Otóż na tle tych trzech oderwanych sposobów badania prawdy, powstały i do dziś powstają wszelkie systemata, doktryny i metody filozoficzne, które choć pod rozmaitemi postaciami i tytułami objawiały się i wciąż występują; zawsze przecież tylko do trzech tych kierunków sprowadzić się dają.

Ile każda z nich ma w sobie rzeczywistej wartości, tj. ile posiada w sobie prawdy, lub zbliża się do niej, ocenić nie trudno, pamiętając na to, że prawda tylko w całości, tj. we wszechstronnem na rzeczy poglądzie przebywa, gdy wszelkie jednostronności błędem są zawsze, jakoteż nie spuszczać ani na chwilę z oka jedności natury ludzkiej i przyrodzonych, właściwych granic trzech owych dróg w człowieku poznawania prawdy.

Wyłączna droga zmysłowa i umysłowa, zrodziły w ostatnich czasach materializm doświadczalny ¹⁾ i racyo-

¹⁾ O empirykach to takich wyraża się Liebig „że stawiając się na równi z istotami podrzędnymi, małą tylko częstką swej siły przynoszą korzyść społeczności“. (Listy o chemii, tłumaczenie S. Zdzitowieckiego str. 81).

nalizm krytyczny, które to dwa filozoficzne kierunki, jakieśmy wyżej już powiedzieli, wywarły najsilniejszy wpływ na stan obecny nauk.

Z jednej strony materjalizm, z drugiej racjonalizm począł przekształcać i przeobrażać nauki, chociaż niekiedy i oba te systemata łączyły się wspólnie dla silniejszego na nie wpływu.

Ten tylko pojąć i ocenić zdoła obecną epokę nauk, kto tę rzecz dobrze rozumiał.

Pęd racjonalny dzielenia i rozcłonkowania wszystkiego, nietylko, że nauki porozbijał na części, ale tak skrzywił ludzką naturę, że jednostronnie tylko na rzeczy patrzeć zaczęła, spaczyła do tego stopnia, że nie uznając w sobie innych dróg poznawania jak rozum, rozum tylko za wszechwładnego pana ogłosiła 1). Stąd ten obłęd naukowy. „Ludzie bowiem mu podlegli, uważając rzeczy z jednego tylko stanowiska, opierają na niedokładnem pojęciu zmysłowym, na tej nie uzupełnionej podstawie, cały ciąg rozumowań posuniętych do ostateczności i tym sposobem dochodzą do najniedorzeczniejszych wniosków. Ztąd wynikło mniemanie, że zapomocą rozumowania można przeciwko wszystkiemu powstawać i wszystkiego bronić“ 2).

Na fizyologię, jakoteż na wszystkie nauki, człowieka mające na względzie i za przedmiot badania, kierunek ten naukowy wywarł wpływ bardzo złowrogi; jeżeli bowiem nauki materjalne i racjonalne (matematyka) mogły co na nim skorzystać, to nauki, humanitarne i fizyologiczne tylko tu stracić musiały, i rzeczywiście straciły.

Środki i sposoby badania muszą być zawsze zastosowane do przyrody badanego przedmiotu, jeżeli bowiem sposoby fizyczne, chemiczne i drobnowidzowe wystarczają zupełnie do poznania galeny lub blendy np., to sposoby te nie mogą nigdy wystarczyć do poznania człowieka, który w składzie swoim ma coś więcej jak ołów cynk i siarkę tj. minerał, który ma coś, co ani ciepłomierz ani elektroskop odkryć, ani drobnowidz zobaczyć, ani retorta pochwytać nie może. Muszą więc być oprócz tych i inne jeszcze wyższe i odpowiedniejsze naturze ludzkiej sposoby badania.

Elektryczność w fizyce inaczej się wykrywa i innymi przyrządami, aniżeli ciepłota, każde ciało w chemii inny ma do swego

1) Znane jest przecież sławne wyrażenie Hegla: „Alles was ist, ist vernünftig.“

2) Balmes „O sposobie osiągnięcia Prawdy str. 71.

odkrycia odczynnik, i inaczej się zachowuje, czyżby więc tylko życie człowieka i jego objawy nie miały żadnych właściwości i odpowiednich do swego badania dróg nie potrzebowały? Przeciwnie przypuszczeniu takiemu stanowczo protestujemy, nie sądzimy bowiem, aby ktokolwiek z myślących ludzi człowieka i kamień mógł brać za jedno i nie widział między nimi różnicy.

Słusznie zaiste i sprawiedliwie powiada fizyolog G. H. Lewes, że 1) „jednem z zasadniczych praw naszej wiedzy, o którym nigdy nie powinniśmy zapominać, a które niestety bardzo często bywa omijane w naszym usiłowaniu do zdobycia światła, jest: abyśmy nigdy nie usiłowali zagadnień jednej nauki objaśniać za pomocą pojęć właściwych innej nauce“.

„Są bowiem pojęcia właściwe tylko chemii, inne właściwe fizyce, znowu inne należące do fizyologii i nakoniec takie, które stanowią dziedzinę nauki społecznej. Nauki te znajdują się ze sobą w ścisłych wewnętrznych stosunkach, każda jednak posiada odrębny zakres, którego granice uszanować jesteśmy koniecznie zmuszeni. Prawa bowiem fizyczne nie zdołają nigdy objaśnić objawów chemicznych; prawa zaś chemiczne nie są w stanie wytłumaczyć objawów żywotnych“.

„W każdej czynności żywotnej grają pewną rolę prawa chemii i fizyki, a więc znajomość ich jest niezbędną; lecz po nad nimi istnieją jeszcze inne, właściwe prawa żywotne, których wszakże na mocy dedukcyi nie zdołamy nigdy z poprzednich praw wyprowadzić“.

Nie ma zaiste nauki, gdzieby na nieszczęście prawo to, o którym pisze Lewes, „by zagadnień jednej nauki nie usiłowano tłumaczyć pojęciami właściwymi innej nauce“ było więcej lekceważone i omijane, jak w fizyologii. Naukę tę wliczono do szeregu nauk przyrodniczych, i jako taką traktować poczęto.

Fizykom i chemikom, szczególnie olśnionym blaskiem postępu swych umiejętności, zdawało się, że już zerwali tajemniczą zasłonę z przyrody i rozwiązali wielką zagadkę życia. Bardzo poważni badacze, jak np. Lehmann z całą pewnością rzeczy nie wahają się pisać 2): „Że ponieważ istnienie siły t. z. żywotnej, właściwej ciałom organicznym nie może być niczem dowiedzione, przeto wszystkie zjawiska istot żyjących należy tłumaczyć

1) Fizyologia t. I. str. 58.

2) „Precis de chemie physiol. animal.“ Paris 1855 p. 7.

prawami fizyki i chemii, te prawa bowiem jedne, dają nam klucz do zjawisk życia, i niedaleki może czas, że fizjologia zwierzęca całkowicie sprowadzoną zostanie do zasad fizyki i chemii 1).

Uczony F. A. Longet słusznie też odpowiada na te rady i złote nadzieje Lehmana 2) że „fizjologia robić będzie, co dotąd robiła tj. nie pogardzając wcale chemią i fizyką w sprawach życia, nie przestanie i dalej badać licznych i ważnych objawów życiowych, których nauki te nie są i nie będą nigdy w możliwości wytłumaczenia, bo te nie wchodzą w ich zakres“.

Toż samo niemal powiada i uczony Liebig, „że już dawno próbowano zjawiska żywotne wyłącznie tłumaczyć podług zasad chemii i zrobić z fizjologii rozdział chemji. Próbowano tego już przed wiekami i to w czasach, w których lepiej znano chemiczne sprawy w ciele aniżeli sam ustrój... Usiłowania te jednak spełzły na niczem a płonność ich stała się podstawą samoistności fizjologii. Z fałszywego wyobrażenia, które sobie robią o wpływie chemii na tłumaczenie zjawisk żywotnych pochodzi to, że z jednej strony wpływ ten jest lekceważony, z drugiej zaś wymagania i oczekiwania są zbyt wygórowane“ 3).

I takich przyrodników jak Lehmann z jego ułudą, moglibyśmy tu zacytować wielu 4), tak wiara w nieograniczoną potęgę nauk przyrodniczych, daleko się rozniosła, nigdzie jednakże kierunek ten silniej nie był propagowany i więcej się nie rozwinął, jak

1) „Liczne postrzeżenia, powiada Mialhe wykazują, że wszelkie ustrojowe czynności odbywają się na podstawie chemicznego działania, i że istotą ustrojową może być uważana za żywą pracownię chemiczną, w której odbywają się czynności składające życie“. Cytow. w dziele Siła i Materya Büchnera str. 152.

2) Physiologie 1861. T. I. p. XXV.

3) Nowe Listy o Chemii tłum. Dr. L. Natanson str. 38 i 60.

4) Locke np. wychodząc z punktu atomistycznego (fizycznego) znowu pisał: „Nie wątpię, że gdybyśmy dokładnie znali, kształt, objętość, budowę i ruch najdrobniejszych atomów dwóch ciał, moglibyśmy również pewnie i dokładnie ocenić i oznaczyć ich wzajemne na siebie działanie jak umiemy ocenić i oznaczyć własność trójkąta lub kwadratu. Gdybyśmy znali stosunki mechaniczne najdrobniejszych cząsteł rumbarbaru cykuty i opium, i cząstki najdrobniejsze człowieka, również jak zegarmistrz zna cząstki zegara i swej piły, którą odmienia kształt każdego kółka, moglibyśmy naprzód przepowiedzieć, że rumbarbar rozwalnia, cykuta zabija a opium sen sprawia“.

u Niemców, którzy w ogóle kierunek racjonalno-krytyczny w filozofii najgorliwiej uprawiali, bo najwięcej nadawał się on do ich geniuszu i usposobienia, do dziś jeszcze nie przestał on być im przewodnią gwiazdą ¹⁾).

Racjonalizm stawiają oni dotąd za zasadę wychowania i to tylko raczą uznawać za prawdę „co się zmysłowem doświadczeniem da sprawdzić“.

We Francyi i Anglii, kierunek ten nie przyjął się nigdy tak powszechnie w fizyologii szczególnie i w medycynie, jak w Niemczech, gdy u nas natrafiał on zawsze na stały opór; syntetyczny bowiem z natury swej geniusz polski przeciwił się zawsze racjonalnemu krytycyzmowi, szczególnie w medycynie i naukach antropologicznych. W literaturze naszej lekarskiej, na nieszczęście bardzo mało znanej i czytanej przez polskich lekarzy, mamy tego liczne dowody. Tak np. uczony Dr. Dworzaczek w rozprawach swych „o filozofii medycyny“ ¹⁾, „o życiu“ ²⁾, „o człowieku“ ³⁾ drukowanych swojego czasu w Pamiętniku Tow. Lekar. Warszawskiego, bardzo gruntownie i poważnie wyłożył najważniejsze pytania fizyologiczno-lekarskie w obec starych i nowych szkół lekarskich. Empiryzm, czysty i racjonalizm oderwany absolutny, pojął i ocenił jak należy. „Empirycy powiada np., którzy zmysłem samym chcieli jedynie ufać i jako na nich oparte cenili doświadczenie, ani się domyślali, że czuć jak myśleli Stoicy i wiele innych znakomitych umysłów, jest już myśleć, i że gardząc myśleniem i wyrzekając się rozumowania, pomimo

¹⁾ Niedawno Virchow w mowie swej „O znaczeniu nauk w narodowym życiu Niemiec“ mianej w Rostocku na zjeździe przyrodników niemieckich, dał tego świadectwo mówiąc: „Powinniśmy się starać najprzód, aby naród przejęty był potrzebą wspólną i ogólnej nauki, opartej na podstawie racjonalnej... Biernie zachowanie się naturalistów przynosi wielką szkodę społeczeństwu. Przedewszystkiem nie należy pozwalać na to, by w łonie narodu istniały dwie różne umysłowe sfery... Że wszystkich sił dążyć należy do tego, aby naukę przekształcić na dobro powszechne, nie przez popularyzowanie jej, ale przez ustanowienie wychowania racjonalnego... Gdyby każdy starał się nie opierać na faktach nie dających się stwierdzić doświadczeniem i nie zajmować się rzeczami, o których człowiek nie wie, dzieć nie może, wtedy wkrótce uniknęlibyśmy wszelkich trudności. Ale opozycja stawiana nam przez „przesąd“ jest zuchwałą (!!!).

²⁾ Tom XIII. Poz. I. ³⁾ Tom I. Poz. i Tom VII. Poz. I. i T. X. Poz. II. i ⁴⁾ T. XV. Poz. II.

wiedzy myśleli i rozumowali, jeżeli się nie zdołali zredukować do zupełnego idiotyzmu“ 1). Co zaś do uczonych, „którzy znów uważają myślenie za czynność samotwórczą i jedyną ducha naszego, boskiemu podobnego, i według tych samych praw myślącego, według których Stwórca stwarzał; samem czystem myśleniem, logicznie snutem, chcieli dojść do poznania w wszystkich praw natury, do poznania prawdy, tym powiada Dr. Dworzaczek, udało się tylko zwieść siebie i zwieść nieostrożnych; bo samo czyste, samo z siebie snujące się myślenie, oderwane, jak je nazywają, bodaj że jest więcej jak czystą illuzją, jest niedorzecznością“ 2). „W każdej władzy bowiem duszy naszej, jednoczą się wszystkie inne, każda z nich jest, że tak powiem środkiem energii wszystkich“ 3).

Prac podobnych w pismach Tow. Lek. Warszawskiego znajdujemy wiele, tak że nie tylko z pojedynczych prac jego członków ale i uroczystych przemówień jego prezesów przekonać się można o usposobieniu jego w obec nowych prądów. „Chęć wytłumaczenia wszelkich objawów przyrody, powiada w jednej z mów zagajających 4) publiczne posiedzenie T. L., prezes jego Dr. Bącewicz, doprowadziły już nieraz badaczy do teoryj fałszywych, albo do powątpiewania czyli sceptycyzmu. Temu samemu losowi ulegli i lekarze a zwłaszcza ci, co dla wykrycia prawdy, rzucili się zbyt skwapliwie na szerokie pole nauk przyrodniczych, znakomicie wprowadzicie medycynę posilkujących, ale niedostatecznych do wyjaśnienia wszystkiego, bo wiele jest w medycynie rzeczy, nie dających się uchwycić jakimkolwiek zmysłem i niedostępnymi potędze rozumu“.

Ktokolwiek zresztą z polskich uczonych, rzucił się w prąd naukowy wieku, ale miał dość siły i hartu, by nie poddać się, tj. nie stracić swej samodzielności, inie zatrzeć poczucia godności rodzimego geniusza, ten i wśród powag umiał zachować swą prawdę i naukowe poczucie.

Uczony sekretarz naukowy Tow. Lek. Polskich w Paryżu Dr. Adam Raciborski, w Roczniku tegoż towarzystwa za rok 1859 4) tak ocenia wpływ filozoficzny Kanta i Hegla, tj. absolutyzmu racjonalnego, na medycynę dzisiejszą. „Nie ma najmniejszej wątpliwości, powiada on, że duch tych sławnych filozofów, wywarł głęboki

5) „O filozofii medycyny. Pam. Lek. T. XIII. Poz. I. str. 146. 2) Tamże str. 145. 3) Tamże 116. 4) R. 1854 w Warszawie. 5) Str. 123.

wpływ na medycynę niemiecką XIX wieku.. Gdziekolwiek bądź zaprobowano posuwania idei absolutnej do najodleglejszych konsekwencji, drogą dialektyki, wszędzie te utwory jedynie teoretyczne, doprowadziły do smutnych rezultatów. W ekonomii doprowadziły do marzenia o najniepraktyczniejszym komunizmie; w świecie politycznym ideą ludzkości i czarującym jej wpływem na umysły, starano się ni mniej ni więcej, jak wytepić w ludach uczucie narodowości i miłości ojczyzny. W medycynie myślano także, że można wszystko zredukować do objawień fizycznych lub chemicznych. Co tylko jest racjonalne mówią sektatorowie Hegla, to wszystko jest rzeczywiste i nawzajem“.

„Tym sposobem zdawało się najnaturalniejszą rzeczą rozdrzeć całą przeszłość lekarską... Podług zwolenników tej szkoły dosyć jest, otoczyć się w gabinecie różnemi materjami wydzielnemi w chorobach i poddawać je egzaminowi mikroskopicznemu i analizie, aby już mieć wyobrażenie o naturze chorób i przygotować tym sposobem wskazania do leczenia. Postępując po tej równi pochyłej, nie trudno było dojść do tej ostatecznej konsekwencji dialektycznej, że dosyć jest być dobrym chemikiem, albo fizykiem, aby mieć prawa pisać traktaty o chorobach“.

„W oczach zwolenników tej szkoły, jest to właśnie przykład tego, co się w jej duchu nazywa: miłować medycynę dla nauki. Cały fizyologizm dzisiejszy niemieckich lekarzy, nie jest czem innem, jak rozwinięciem podobnych zasad filozoficznych. Obok najlepszych utworów.... wszędzie u lekarzy niemieckich postrzegać się daje pedantyzm teoretycznej strony, i ciąгла dążność do racjonalizmu, mniej więcej nawet uatężonego“.

Nie wszyscy jednak z uczonych lekarzy naszych, umieli zostać samodzielnymi, nie wszyscy mieli dość siły by oprzeć się urokowi powag swych przewodników i odejść od głównego ołtarza w wielkich stolicach nauki; wielu też z nich uległo, bo wsiadłszy na obcy wózek, jak powiada przysłowie, obcą pieśń śpiewają.

Zdatność i bystrość polska zabłysła wprawdzie na wszystkich akademiach i wszechnicach w Europie, wykształciło się wysoko wielu lekarzy i profesorów, ale w duchu obcym i na sposób obcy, tj. z zatafciem tej idywidualności narodowej, którą najniezawodniej większą moglibyśmy oddać usługę nauce, aniżeli pokornem naśla-

downictwem Niemców 1), w obec których przyroda nas wcale nie-upośledziła, byśmy się im oddawali w poddaństwo. Mamy więc u siebie dalszy ciąg niemieckich uczonych, którzy choć w sile badawczego umysłu, dokładności metody i świeżości pomysłów dorównują najpierwszym naukowym znakomitościom niemieckim, tém się jednak różnią, że mniej od nich szanują i kochają swój kraj rodzinny a bijąc hołd niemieckiemu genjuszowi nie mają wiary w genjusz polski.

Na przykładach takiego pokornego naśladownictwa nie zbywa nam wcale. Oto Dr. Herman Fudakowski, docent fizyologii w Warszawie r. 1864 w „odczytanie swym wstępnym do wykładu fizyologii“ do tych prawd dochodzi „że prawa fizyki i chemii dają i muszą się zastosować do wyjaśnienia spraw życia; równie bowiem, jak fizyka wchodzi w tłumaczenie sprawy krążenia krwi, miejscowości, czyli ruchów, czynności zmysłów, widzenia, strachu, tak chemia jest pomocna w tłumaczeniu i badaniu spraw odżywiania, oddychania, w ogóle krążenia materji w organizmie“ 2).

Choć rzucanie u nas prawd takich na podwaliny fizyologii, może płynąć nawet, jak powiada, Dr. A. Raciborski „z cnoty wdzięczności“ dla swych przewodników, nie usprawiedliwia, przecież w niczem autora, ani w niczem podnosi rzeczywistej wartości jego doktryny.

Kierunek materialny i racjonalny przyjęty za podstawę i zasadę badań fizyologicznych sprawił to, że nauka ta 1) raz zupełnie przeczyła istnieniu sfery duchowej w człowieku 2) drugi raz, duszę głosiła za delikatną materję, za siłę nieważką lub za wynik materialny fizyologicznych czynności ustroju. Co przecież jest jednym i tém samem.

Ponieważ zaprzeczenie istnienia tego co jest, nie zmienia wcale jeszcze istniejącej rzeczy, człowiek przeto w rękach materialnych i racjonalnych fizyologów, był tym samym, co i w rękach ludzi wierzących. Zaprzeczyć jednak w człowieku istnienia niematerialnego ducha, który wcielony w ciało ożywia je i jest przyczyną życia materialnego naszego ustroju, i chcieć to życie bez niego tłumaczyć; widzieć zjawiska tego, w byt czego się nie wierzy, a dla widomych zjawisk usiłować odszukać przyczynę

1) Mówimy tu o Niemcach bo rzecz idzie o racjonalizm, ale mamy tu na myśli wszelkie naśladownictwo Francuzów, Anglików i t. d.

2) Str. 32.

i ich wyjaśnienie, pojąć nie trudno, na jakie wpaść trzeba było drogi i na jakie weszli dziś rzeczywiście fizyologowie tego kierunku. Chemia, fizyka i mikroskopia, stały się dla nich potęgami, któremi zdawało im się, iż zdołają przedrzeć tajemniczą zasłonę przyrody i pojąć życie. Ciepłik, elektryczność, magnetyzm, powinowactwo chemiczne, przyciąganie i t. d., fizyczne i chemiczne siły, uznawszy za wyłączną przyczynę życia naszego ustroju, pewni byli, iż z pomocą chemii i fizyki zdołają je całkowicie pojąć i wytłumaczyć. I założenie swoje osiągnęli by najniezawodniej, gdyby rzeczywiście życia naszego przyczyną a raczej samo życie nasze, było tylko czynnością fizycznych i chemicznych działaczy. Pojęcie przecież takie jest dalekiem bardzo od rzeczywistości i prawdy.

Jak we wszystkich naukach, tak i w fizyologii bywają zawsze dwa rodzaje badaczy: 1) poważnych i głębokich i 2) lekkich i płytkich, tj. ludzi sumiennych, pracowników dla prawdy, i pracowników dla własnej motylej sławy i czczego rozgłosu. Tak bywało od początku świata wszędzie, i tak do dziś bywa. Domyśleć się przecież nie trudno, że tylko z pierwszych prawda i wiedza mogą mieć rzeczywistą korzyść, gdy z pracy drugich więcej pozostaje w nauce gmatwaniny, chaosu, czczych, bezpodstawowych teoryj, aniżeli światła rozpraszającego ciemności.

Obecny stan fizyologii, przedstawia jeszcze tyle na każdym kroku trudności, zagadek, niepewności, a często nawet i nieświadomości zupełnej, że z niego wcale nie możemy wyprowadzać wniosku, iżby na dotychczasowej drodze i dotychczasowymi siłami, fizyologia dojść mogła kiedy do swego celu, tj. być tłumaczem zjawisk ludzkiego życia. Weźmy bowiem, z którego bądźkolwiek działu fizyologii, jaką sprawę pod szczegółowy rozbiór, a przekonamy się, że ona pomimo bardzo licznych, ciekawych i pracowitych doświadczeń i teoryj, bynajmniej rozwiązana nie jest, i rzeczy samej bynajmniej w niczem nie wyjaśnia.

Weźmy kilka przykładów. I tak: Jaki wpływ wywiera układ nerwowy na wydzielenie moczu? Sprawa to niesłychanie ważna!

Od najdawniejszych poszukiwań Krimera 1) nad wpływem nerwów na wydzielanie moczu, do dziś nie wiele co więcej w sprawie tej zrobiono. Wedle uczonego tego przecięcie nerwów nerko-

1) Physiologische Untersuchungen. Leipzig 1820 p. 1—60.

wych, powodowało wydzielanie się z moczem białka i barwników krwi, jakoteż zmniejszenie się prawidłowych składników moczu. Brachet ¹⁾ przecinał tętnicę nerkową wraz z nerwami nerkowymi i później łączył dwa końce przeciętej tętnicy za pomocą rurki, mocz wydzielany wtedy w ciągu 4 godzin był czerwony i dzielił się na ścieły włóknik i mocz płynny. Podobnie krwisty mocz otrzymali J. Müller i Peipers ²⁾ podwiązując czasowo naczynia z nerwami nerkowymi, przez co te ostatnie przecinały się prawie. Valentin wypadek ten stwierdził ³⁾ podwiązując raz same nerwy, drugi same nerkowe naczynia. Ludwig zwrócił tu uwagę, że przy doświadczeniach powyższych powstają zawsze znaczne zmiany w nerkach, a mianowicie rozmięczenie i przekrwienie ⁴⁾. Schultz'e zaś robiąc swe doświadczenia pod kierownictwem sławnego Bidera i Adelmanna ⁵⁾ przekonał się podwiązując naczynia i nerwy nerkowe, że po 78 a czasem nawet i po 36 godzinach, nie można już było rozpoznać ani śladu nerki. Zwiększanie się tłuszczu poprzedza rozplynięcie się tkanki.

Doświadczenia Longeta ⁶⁾ nad wpływem mózgu i rdzenia na wydzielanie moczu, jakoteż K. Bernarda nad wpływem nerwów na krążenie nerkowe i wydzielanie moczu ⁷⁾, chociaż wykazały, że zranienie czwartej jamy mózgowej wpływa na zwiększone wydzielanie moczu z cukrem lub bez, jakoteż, że przy szybkim krążeniu w nerce więcej się wytwarza moczu, nie przecież nie wyjaśniły stałego i rzeczywistego wpływu układu nerwowego na to wydzielanie.

Wittich w ostatnich czasach wykazał ⁸⁾, iż nerki od spłotu nisympatycznego zaopatrzone są w podwójne gałązki, jedne wchodzą do nerki pomiędzy tętnice i żyły, drugie oplatają tętnice.

Przecięcie pierwszych powiada Wittich nie spowodować zmian żadnych, gdy małe nawet podrażnienie drugich, powoduje białko-

¹⁾ Recherches experimentales sur les fonctions du system ganglionaire. Paris 1820 p. 369.

²⁾ De nervorum in secretiones actione. Berol 1834 p. 231.

³⁾ De functionibus nervorum p. 149.

⁴⁾ Wagnera Handwörterbuch Band 2. p. 634.

⁵⁾ De arteriae renalis subligatione Dorp. 1851.

⁶⁾ Traite de Physiologie T. 2 p. 198.

⁷⁾ Lecons sur les propr. physiol. etc. T. 2 p. 162 i Nouvelle fonction du foie etc. 1853.

⁸⁾ Königsberger med. Jahreshb. 1861.

mocz i znaczne zmiany patologiczne w nerkach. Przy drażnieniu spłotu nerkowego i nerwu trzewiowego powstawały tylko niestałe i niepewne zmiany w wydzielaniu.

Jakżeż z tego obrazu poszukiwań i doświadczeń trudno co wynioskować o wpływie nerwów na wydzielanie moczu? A przecież wpływu tego zaprzeczyć nie możemy, wiemy bowiem, że w przestrachu, wydzielamy nagle mocz bezbarwny, gdy przed chwilą jeszcze był on zupełnie prawidłowym. Nadto z patologii mamy przykłady, że przy napadach nerwowych, przy niektórych chorobach mózgu i rdzenia, mocz wydzielany, zmienia się ilościowo i jakościowo. Doświadczenia zresztą powyżej cytowane z nerkami wprowadzają wysoko ustrój zwierzęcia, w stan patologiczny, aby wyniki ich, za fizyologiczne uznać było można. Słusznie też zdaniem naszym powiada Donders „że w sprawie wpływu układu nerwowego na wydzielanie moczu jeszcze wielka panuje ciemność“ 1).

Podobnież się wyraża Donders i o drugim nie zaprzeczonym fakcie fizyologicznym, a mianowicie o ruchu robaczkowym kiszek „iż nie znamy ruchu tego“ 2), a przecież o istnieniu jego w żywym ustroju przekonać się możemy na królikach np. otworzywszy im jamę brzuszną. „Więcej jeszcze powiada uczony ten zagadkową jest przyczyna ustawiania tych ruchów“. Doświadczenia Ludwiga i Schwarzenberga w tym celu robione niczego nie dokażały. Spodziewano się później, że poznanie krążenia w kiszkach badane przez Schifa i Brown-Sedarq wyjaśni te sprawę.

Przypuszczano potem, że ruchy kiszek zależą bezpośrednio od zwoju słonecznego 3), nowsze jednak doświadczenia Ludwiga Kupfera i Wolfa 4) zdają się wykazywać, że nerw błędny może być niekiedy nerwem ruchowym kiszek. Nerw współczulny może działać na kiszki drogą odruchu przez rdzeń. Bernard zauważył na psie, że drażnienie zwoju piersiowego górnego (gl. thoracicum primum) sprowadzało kurczenie się żołądka i cienkich kiszek, nawet po przecięciu nerwu współczulnego poniżej zwoju. Pflüger

1) Fiziologia str. 552.

2) Tamże str. 350.

3) Müllera Physiologia I. 190. Todd and Bowman. Anatom and Physiol. of Man III. 115, IV. 357.

4) Meisnera Jahresb. 1857. 494.

nakoniec przekonał się ¹⁾, że nerw trzewiowy (n. splanchnicus) tamuje ruch kiszek cieńkich i górnej części kiszek grubych.

Dodajmy do tego jeszcze doświadczenia Ludwiga i Kupfera, że podrażnienie n. trzewiowego sprowadza raz ruch robaczkowy drugi raz go wstrzymuje, a będziemy mieli dopiero chaotyczny obraz tej sprawy.

Prof Hoyer z Warszawy powiada „że i najnowsze doświadczenia robione nad inervacją kiszek, nie rozjaśniły jeszcze jej mechanizmu“ ²⁾. I tak Lemańskiemu, pisze on, udało się, utrzymać psa przy życiu po wycięciu plexus coelicus i mesentericus ³⁾. Dalej liczni badacze stwierdzili, iż ściśnięcie aorty i krwotoki, wzbudzają lub przyspieszają ruchy robaczkowe kiszek; z drugiej zaś strony dostrzeżono że tętnicze i żyłne przekrwienie i nastrzyknięcie krwi tętniczej do tętnic kiszkowych, podobny okazuje skutek ⁴⁾.

Wedle S. Mayera i S. v. Bascha głównym czynnikiem pobudzania, jest krew żylna, przez swej kwas węglany. Oni tłumaczą tem i tamujący wpływ nerwu trzewiowego, dostrzeżony przez Pflügera.

Engelmann zresztą utrzymuje, że ruch robaczkowy nie zależy bynajmniej od wpływu nerwów, ale od szczególnego rozkładu i wzajemnego oddziaływania samych mięśni kiszkowych.

Widzimy więc, że sprawa tak ważna i nie zaprzeczalna, pomimo tylu doświadczeń, wcale się nam dziś jasną nie przedstawia w fizyologii. Sprawa inervacyi serca, tyle wysokiego znaczenia, nie lepiej także wyjaśnioną została. Żadna z dotychczasowych teoryj, ani dostatecznie zbitą, ani popartą doświadczeniami, a raczej sprawdzoną nie została, pomimo iż się nią tyle dotąd badaczy zajmowało i wciąż zajmuje. Przytoczyliśmy te trzy przykłady jakie nam na myśl przyszły dla tego, aby czytelnika przekonać, że na każdej karcie niemal fizyologii dzisiejszej, znajdujemy niepewności, albo zupełną ciemnię, szczególnie gdy w sądzie nie zadamy kłamu sławnemu Szylerowskiemu wyrażeniu, „iż więcej kochamy prawdę, jak własne teorye“. Chcieliśmy głównie zwrócić uwagę na to, jak trudno jest dzisiejszą drogą badań fizyologicznych, tj. drogą

¹⁾ Ueber Hemmungsnervensystem für die peristaltischen Bewegungen der Gedärme. Berlin 1857.

²⁾ Donders Fizyologia w przepisku str. 348.

³⁾ Henle und Pfeiffers Zeitschrift Band XXVIII.

⁴⁾ Nasse Beiträge zur Physiologie der Darmbewegung. Leipzig 1869.

t. z. wiwisekcyj i trucia, dochodzić do wyników fizyologicznych. Zwierze bowiem skrepowane i przywiązane do stołu, krajane i męczone w najdotkliwszy sposób, nie jest i znajdować się nie może w stanie fizyologicznym, prawidłowym; wszystkie więc objawy i wyniki naszych doświadczeń, uważać tu musimy za patologiczne. Powtóre, objawy odbite i sympatyczne czyli odruchy, które w doświadczeniach bywają bardzo różne i liczne, utrudniają wielce odszukanie rzeczywistej przyczyny. I tak widzieliśmy iż jak z doświadczeń się pokazało, ruch robaczkowy kiszek może pochodzić: 1) od nerwu błędnego, 2) od nerwu współczulnego, drogą odruchu, przez rdzeń, 3) od zwoju piersiowego górnego 4) od nerwu trzewiowego (Ludwig i Kupfer) 5) od ścśnięcia acerty i krwotoków 6) od przekrwienia tętniczego i żylnego w kiskach 7) od kwasu węglanego w żyłach, i nakoniec 8) od szczególnego rozkładu i oddziaływania wzajemnego samych mięśni kiskowych. Czegoż więc ta różna przyczynowość tutaj dowodzi? Naszem zdaniem, najwięcej jedności przyrodzonej ustroju, jedności i powiązania z sobą wszystkich czynności jego fizyologicznych jedności nakoniec i wzajemnego na siebie oddziaływania, wszystkich narządów, części tkanek i soków w skład ustroju wchodzących, jakoteż wpływów zewnętrznych, na które tenże jest wystawiony.

Jedności tej ustroju, tyle ważnej, fizyologowie dzisiejsi nie uwzględniają wcale i tyle tylko na nią zwracają uwagi, ile znajdują połączeń nerwów pomiędzy sobą, szczególnie pomiędzy układem zwojowym a mózgowo-rdzenym.

A któż nie wie przecież, jaka istnieje przerwa w badaniach pomiędzy tém, co widzi gołe oko anatoma ichwyta skalpel—a tém, co drobnowidz wykrywa, któż nie wie jak jest trudnem odszukanie i pochwycenie delikatnych bardzo gałązeczek nerwów. gdy te tak prędko ulegają stłuszczeniu po przecięciu? Wielkiej nerki przecież po podwiązaniu naczyń i nerwów nerkowych nie można się było doszukać ani śladu po 36 godzinach 1) cóż więc dopiero mówić o włosowatych gałązkach nerwowych i tych podrażnieniach, jakich przy najostrożniejszych nawet wiwisekcyach uniknąć jest nie podobna.

(Dok. n.)

1) Wyż cytowane doświadczenie Schultza „de arteriae renalis subligatione.

ZAKONNIK, SOCYALISTA I POETA

Wizerunek z wieków średnich.

(Dokończenie).

VII.

Ogniste serce nie przestawało na samej wymowie kaznodziej-skiej, strumień ten nie wyczerpywał wszystkich jego wewnętrznych bogactw i tajemnic. Krasomowstwo nie wychodzi po za obręb prozy; a proza choćby najbardziej wymowna, zawsze będzie tylko językiem rozumu; więcej lub mniej ścisłą argumentacją. Wystarcza to dla rozumu, żeby w formę ścisłą i jasną ujął prawdę, którą chce wyrazić i przelać w słuchaczów; atoli miłość nie poprzestaje na tem, i sięgając głębiej wydobywa tę piękność jaka ją przenika, i wyraża ją językiem zdolnym wzruszyć i unieść. Miłość jest nie-spokojnej natury, nie łatwo zadowalnia się, ale też i na wszystko się waży. Ona to ożywia słowo, daje mu pęd poetyczny, pożycza jakby dwóch skrzydeł: harmonijnej miary i dźwięków rymu.

Kościół uznawał i miał w poszanowaniu poezję, robiąc jej pierwsze miejsce w obrządkach przy ołtarzu i na chórze. Czuł to św. Franciszek, sam doświadczając niemocy zwykłego słowa w od-daniu tych wszystkich wzruszeń, jakie grały w jego piersi. Ilekroć bowiem imię Chrystusa naszego pana i odkupiciela miał wymówić, zaciął się, głos mu się zmieniał; „jak gdyby słyszał — mówi św. Bonawentura — jakąś przedziwną wewnętrzną melodyą i chciał jej tony połapać“. Otóż nie było innej rady, tylko tę ścigającą go tajemniczą melodyę, uwieźć we wspaniałym hymnie. Posłu-chajmy, co o tem mówią jego historycy.

Było to w ośmnastym roku pokuty św. Franciszka, gdy ten sługa Boży przepędziwszy na czuwaniu czterdzieści nocy, zostawał w zachwyceniu, w skutek czego kazał bratu Leonardowi wziąć pióro i spisywać śpiewany przezeń hymn o bracie Słońcu. Że zaś to była improwizacya, wezwał brata Pacyfika, biegłego w składaniu wierszy, aby słowa te uszykował lepiej i powiązał rymem; poleca-

jąc braciom nauczyć się tego kantyku na pamięć i codzień odspiewywać. Hymn ten brzmi jak następuje:

O wszechmogący, dobry gospodynie!
Błogosławieństwo, chwała, cześć we wszystkim
Tobie jednemu, bo od Ciebie płynie —
I człek niegodzien nazwać Cię nazwiskiem.

Chwała bądź Panu z tworów Jego likiem,
Szczególnie z bratem Słońcem, co obdarza
Dzionkiem nas, świeci swym własnym promykiem,
Jasne — promienne — Boga wyobraża.

Chwała Ci! siostrze Księżycowi gwoli,
I chwała gwoli tym gwiazdom na niebie,
Któreś rozsypał jak ziarenka na rolę,
Czyste, świetlane, by patrzyły w Ciebie.

Chwała bądź Panu gwoli Wiatru bratu,
Gwoli powietrzu, chmurom i pogodzie,
By świat wilżyły i wiały po świecie
Ku Twoich stworzeń dobru i wygodzie.

Chwała bądź Panu przez wodę siostrzycę
Czy źródła, rzeki, napelnia czy morze —
Wszak pożyteczna i czyste ma lice,
I zawsze nisko ściele się w pokorze.

Chwała Ci Panie w bracie Ogniu, którym
Przyświecasz mrokiem i nocom ponurym.
O jak wesoło skrzą się jego głośnie!
W pożarze tylko straszny niewymownie.

Chwała bądź Panie gwoli matce Ziemi,
Ona nas żywi i dźwiga na grzbiecie,
Wiosną się stroi kwiatami barwnymi,
Owoc w jesieni nam daje i w lecie.

Chwała bądź Panu, chwała w tych, co mogą
Przebaczać krzywdy dla miłości Bożej —
Cierpliwie w życiu iść krzyżową drogą
Błogosławieni, którzy cierpieć mogą,
Pan im zbawienia wieniec na skroń włoży.

Chwała bądź Panu, i w tej siostrze naszej
 Śmierci cielesnej, co nieunikniona —
 A biada temu, który w grzechu skona,
 A błogo temu, kto wolę Twą kona,
 Bowiem Śmierć druga już go nie przestraszy.

Niechże cześć, chwała, będzie Panu dana:
 Pełnie w pokorze służbę wedle Pana.

Hymn ten nie odrazu miał wszystkie te strofy; dwie ostatnie dodane były z następnych okoliczności. Zdarzyło się po opisanu pierwszych strof, iż wszczęła się wielka kłótnia między Biskupem Assyżu a urzędem miejskim. Biskup rzucił nań interdykt; a urząd wyjął Biskupa z pod prawa i wszelkich z nim stosunków zabronił mieszkańcom. Św. Franciszek srodze zmartwiony temi waśniami, gorszył się, że nie było żadnego rozjemcy, któryby zgodę przywrócił, i wtedy to do swego kantyku dorobił przedostatnią strofę, poczem rozkazał uczniom swoim iść śmiało do przełożonych i urzędników miejskich, i prosić ich, aby udali się z pieśnią do Biskupa, a stanawszy przed nim, zaśpiewali chórem tę świeżo dorobioną zwrotkę. Uczniowie zrobili co im kazał, i przy dźwięku tych słów jakby natchnionych mocą Bożą, przeciwne strony uściślały się ze skruchą i przebaczyły sobie nawzajem.

Później kiedy św. Franciszek przybył do Foligno, aby nadwątłone zdrowie naprawić zmianą powietrza, doznał był niejakiego polepszenia; atoli jednocześnie miał sobie objawione, że koniec jego cierpienie za lat dwa nastąpi; poczem przejdzie w wiekiusty spoczynek. Uradowany tą wróżbą, ułożył ostatnią strofę o śmierci, zamykającą cały kentyk. O pieśni tej pierwszy raz znajdujemy wzmiankę z zupełnem jej przytoczeniem, w książce Bartłomieja z Pizy, pisanej w r. 1385, to jest w 160 lat po zgonie św. Franciszka. Autentyczności jej nie można podać w wątpliwość. Już ten sposób komponowania urywkami stosownie do natchnienia i potrzeby chwili, przypomina zwyczaj wielkich poetów jak Dante lub Camoens, odbywających dalekie podróże w towarzystwie rozpoczętego dzieła, aby mogli dzień w dzień dodawać ustępy jeszcze ciepłe ich cierpieniem lub nadzieją.

Krótki zaprawdę poemat świętego z Assyżu; a jednak odbija się w nim cała jego dusza, jego braterska miłość dla stworzeń, jego duch pojednawczy, pokorą rozbijający waśni publiczne, słowem ta miłość bez granic co szukając Boga w naturze, a służąc mu

poświęceniem się dla cierpiącej ludzkości, pragnęła śmierci aby się prędzej z nim połączyć. Czuć w tej poezyi jakby tchnienie tego raju ziemskiego, tej ślicznej Umbryi, gdzie niebo takie złociste, a ziemia tak ukwiecona. Język jego ma całą prostotę świeżo formującej się mowy. Rytm świadczy o zupełnym braku wprawy i małym kosztem zadowalnia zbyt wybredne uszy. Rymy zastąpione są tu i ówdzie assonancją, i nieraz przypadają w połowie wiersza. Smak wymagający nie znalazłby tu warunków kompozycji lirycznej; jest to krzyk serca, pierwszy krzyk rodzącej się poezyi, która ma wzrastać wiekami i znaleźć rozgłos na ziemi.

VIII.

Innym jest wcale charakter innego poematu przytoczonego w dziele Bernardina ze Sienny, a przypisywanego św. Franciszkowi. Ów Bernardino o całe sto lat późniejszy od fundatora zakonu, lecz od młodości należący do rodziny franciszkańskiej, może być uważany za wiernego podawcę tradycji przechowującej się w tem zgromadzeniu.

Poemat ten podzielony na dziesięć strof, prostego układu, poprawnego rytmu, pozwala odgadnąć pracę biegłej ręki, zapewne którego z uczniów mającego polecenie od mistrza okrzesać pierwszy rzut myśli. To jednak najgłówniejsza, że z tych wierszy przegląda cały duch św. Franciszka, jego sposób mówienia dobitny i mało-wniczy, a nadewszystko wierne wrażenie, jakiego doznawał po odebraniu cudownych stygmatów. Oduosi się to do owej chwili ekstazy podczas modlitwy na górze Alvernii, gdy widział jak z wysokości niebios zstąpiła ku niemu postać o sześciu skrzydłach przybita do krzyża. Że zaś widzenie to napełniło go niewymowną pociechą, a oraz wielki ból mu sprawiło, poznał że jego ręce i nogi przebite były gwoździami dającymi się namacać. Ci, którzy rzeczom nadnaturalnym nie dają miejsca w historyi, mogą temu faktowi fałsz zadać, ale nie usuną ani zatrą świadectw naocznych, stwierdzonych przysięgą; nie zniszczą obrazu Giotta przechowującego to zdarzenie; ani tego poematu, który podajemy w przekładzie, a który wydaje się jakby go był złożył w chwili samego zachwycenia.

Oto ten drugi utwór, a podobność i ostatni, jaki przypisać można pokutnikowi Assyżu, bez naruszenia własności jego następców, bieglejszych „w trudnej rymowania sztuce“ niż on, aczkolwiek mistrzostwo przy nim zostanie.

In foco amor mi mise.

Miłością gorę bez miary
W miłości wtracony żary.

Mój oblubieniec młodzieńczy
Mój rozkochany baranek
Gdy mię pierścionkiem zaręczy
I w ślubny ustroi wianek,
Ciężkie okowy mi wkłada,
Piersi przebija żelazem —
Choć w kęsy serce się pada
Kocham i gorę zarazem.

Serce spękało w kawałki,
Ciało upadło bez siły....
Miłością ciśnione strzałki
Całego mię zapaliły,
To mój kochanek tak strzela,
I straszy wojny obrazem;
Konam w rozkoszach wesela
Kochając gorę zarazem.

Umieram z samej słodkości;
Mojej nie dziwię się śmierci;
Cisnął oszczepem miłości,
Na wskroś mi serce przewierci.
A na oszczepie wsadzone
Żelazo, sto stóp mające,
Przebodło na drugą stronę
Serce miłością płonące.

Oszczep się skruszył w mej dłoni
Śmierć widzę na mnie zawziętą —
Chwytam tarcz — czej mię zasłoni?
Lecz i tę w sztuki pocięto!
Czem się od ciosów zastawię
Gdy tak naciera zuchwale?
W proch starty, upadam prawie —
Miłością cały się palę.

Potem miótt takie pociski,
Że się już bronić przestałem,
A czując żem śmierci bliski
Na całe gardło krzyczałem:
„Zgwałciłeś prawa szrankowe!“
On na to, kuszę wojenną
Wymierzył prosto mi w głowę —
Miłością gorę płomienną.

Pociski z kuszy miotane,
Tysiąco-funtowe bryły
Ołowiem pooblewane
Gradem się na mnie waliły.
Tak gęstym, że nadaremnie
Chciałem liczyć strzał za strzałem,
Z których każdy trafiał we mnie —
Cały miłością gorzałem.

Nie chybił mię ani razu,
Tak pociski celne były —
Padłem podobien do głazu
I powstać nie miałem siły.
Z pobitem, podartem ciałem
Niby leżący na marach
Bez tchu na ziemi leżałem
W miłości gorejąc żarach.

Umarły! lecz nie trup jeszcze,
Tylko zabity rozkoszą —
W tem przejdą ogniste dreszcze
Własne mię siły podnoszą.
Jużem tak silny, że mogę
Na przewodników skinienie
Do nieba puścić się w drogę —
Miłością wtrącon w płomienie.

Do zmysłów wróciwszy potem —
Bój Chrystusowi wydaję;
* W zbroi, z nastawionym grotem,
Najeżdżałem jego kraje...
Spotkanego jakem schwycił

Pótym tłoczył mym ciężarem,
Pókim zemsty nie nasycił,
Miłości polany żarem.

Syty tą zemstą i złością,
Zgodę zawarłem z Nim wieczną —
Chrystus mię bowiem miłością
Zaraz ukochał serdeczną.
Jego miłością szczęśliwy
Widzę w serca zachwyceniach
Wizerunek jego żywy —
W miłości gorę płomieniach.

Miłością gorę bez miary;
W miłości wtrącony żary.

Pieśń tę można znaleźć w zbiorze poezyi Jakopona z Todi; tradycya przyznaje ją św. Franciszkowi; słusznie też Ozanam przechyla się na tę stronę; aczkolwiek faktura wiersza mówi za Jakoponem — sam pomysł, samo przedstawienie tej sceny, nie może być czyją inną własnością, tylko pokutnika z Assyżu. To bowiem, co między Bogiem a nim zaszło na górze Alwernii, nie mogło być opisane w ludzkim języku, przez kogoś obcego tej nadzwyczajnej chwili. Lecz kiedy święty zstąpił ze szczytu nowej Sinai, uniesienie swoje i zachwyty przelał w pieśń, w której spotykamy się znowu z właściwemi mu zwrotami, pełnemi oryginalności i z bogactwem barw płomiennej wyobraźni. W pieśni tej maluje się charakter awanturniczko-rycerski młodzieńca z Assyżu, co porzucawszy zamiar służenia pod Gotierem z Brienny i zdobywania królestw, wolał zostać błędnym rycerzem pod sztandarem miłości Bożej. Któż go nie pozna w tym rysie, gdy swoją extazę przedstawia w kształcie pojedynku, a raczej gonienia na ostro w turniejowych szrankach, a porywy swego ducha ku niebu, nazywa najazdem na królestwo Chrystusa. W ogóle charakter tej pieśni pokazuje człowieka, w którym gorzało rycerskie serce, który znał się na tem rzemiośle, czego znowu nie ma śladu w tak licznych poeziach Jakopona. Piętno więc indywidualności św. Franciszka wycisnęło się na niej tak silnie, że usuwa się wszelka w tym względzie wątpliwość.

Trudniej już nieco przypisać św. Franciszkowi autorstwo trzeciego kawałka znajdującego się w zbiorze poezyi Jakopona,

aczkolwiek Bernardino ze Sienny, opierając się na podaniu, stara się mu takowy przypisać. Poemat ten liczy przeszło trzysta wierszy, podzielony jest na strofy powiązane umiejętnie i stucznie przeplatanemi rymami, co wyraźnie wskazuje na dzieło późniejszego i bardzo wprawnego poety, jakim był bezwątpienia Jakopone z Todi, zmarły w początku XIV wieku, kiedy poezya włoska wygrzana w płomieniach słońca trzynastego stulecia, szeroko rozwinęła się, i zajęła najpierwsze miejsce między rówieśnikami swemi. W rzeczy samej nie ma już w niej tej zwięzłości i prostoty i tego pierworzutu, jakie się wycisnęły na niewątpliwych tworcach Assyzyckiego patryarchy. Można jednak przypuścić, aby z tradycją nie być w rozterce, że błogosławiony Jakopone z Todi parafrazował z właściwą sobie obfitością i subtelnością, urywek jakiejś myśli lub kilku wierszy starego kantyku, będącego rzeczywiście utworem św. Franciszka, podobnie jak w kompozycji muzycznej uczeń układa długie waryacje na zwięzły temat pożyczony od mistrza.

Ślady jeniusza św. Franciszka nie w tym jednym kawałku dałyby się odnaleźć. Natchnienie tego mistrza, który zostawił tak małą na oko, a w gruncie tak ogromną spuściznę, stało się muzą jego następców. Krótkie te dwa, wyżej przytoczone kantyki i trzeciego ułamek, mogłyby się wydawać małym zadatkim, aby świętemu pokutnikowi otworzyć bramy do świątyni sław poetycznych. Wziąwszy jednak na uwagę, że nasz święty, dopiero po osmnastu latach spędzonych w zakonie, ducha otworzył wybuchom poezyi i złożył te pieśni; to niedziwny się skromnej ich liczbie; odtąd zostało mu bowiem tylko dwa lat życia, przeżytego w ciągłych extazach i w cierpieniach, na które w języku ludzkim dziś nawet słów nie ma.

IX.

Dzieło wielkie było już dokonane; św. Franciszek mógł spokojnie umierać. W ciągu piętnastu lat stworzył i zorganizował instytucję, która ogarnęła średnie wieki i przygotowała dzisiejszą epokę. We wszystkich niemal krajach na zachodzie przyjął się zakon braci mniejszej, ufundowany przez niego, a mianowicie instytucja pół duchowna, pół świecka, tak zwanych Tercyarzy, która dokonała największego przeobrażenia w ustroju średniowiecznego społeczeństwa.

Ażeby lepiej pojąć instytucję tercyarską, trzeba zważyć jakie były cele i usiłowania fundatora. Jakkolwiek zakon franciszkański

miał wysokie posłannictwo, nie mógł on sam przez siebie wprowadzić do polityki wszystkich wyobrażeń zdrowych, sprawiedliwych i prawdziwie chrześcijańskich, z jakimi się nosili reformatorem XIII. wieku. Zresztą św. Franciszkowi nigdy przez myśl nie przeszło, aby społeczność miała się urządzić na sposób klasztorny. Tszeba było zatem po za obrębem organizacji zakonnej stworzyć instytucję, bardziej zastosowaną do potrzeb prostaczków, i do zadania, jakie ciąży na społeczeństwie cywilnem, którego powinnością dobijać się o panowanie prawa przed siłą.

Nader prosty mechanizm instytucji tercyarskiej miał na celu zjednoczenie tych wszystkich, którzy pragnęli tryumfu sprawiedliwości nad przemocą, aby wyłamać się z pod feodalnych zwyczajów, przykuwających lud do możnowładców, wiecznie niezgodnych między sobą. Warunki i obowiązki ciężące na członku nie były wogóle trudne, owszem modyfikowały się stosownie do sił i zamożności gminy, jedno tylko zobowiązanie się było koniecznem, to jest, że każdy powinien był wspierać drugiego, i wszyscy wspierać się wzajemnie. Dla tego mnóstwo zaciągało się pod chorągiew tercyarską, tak iż w przeciagu latkilkunastu, tercyarze nie bractwo, lecz tworzyli naród.

Były jednak dwa warunki, którym każdy członek poddawał się uroczyscie, to jest, nie wolno mu było przysięgać żadnej osobie, ani rodzinie, ani stronnictwu; po drugie nie używać oręża z wyjątkiem dwóch przypadków, jako to: w obronie ojczyzny i wiary Św. Dwa te zastrzeżenia, na pozór nie nieznaczące, miały ogromną ważność — one to stworzyły potęgę bractwa, które rozszerzając się szczególnie na zachodzie i południu Europy, złamało przemoc feodalnych baronów, i przyczyniło się niezmiernie do utworzenia narodowości i stanu średniego.

Żeby lepiej poznać wartość zakonu, przypomnijmy sobie jakie to były obyczaje i porządek w średnich wiekach.

W tym ustroju na pół barbarzyńskim, gdzie wszechwładztwo urodziło się z posiadania ziemi, każdy ród feodalny miał sobie poddaną ludność, której obowiązkiem było brać udział we wszystkich jego nienawiściach, to jest stawać pod bronią za lada kłótnią z najbliższym sąsiadem, przelewać krew o lada pijaną burdę, lub inne osobiste uchybienie. Już buntujące się komuny w XI wieku, były jawnem oddziaływaniem przeciw tej hierarchii despotyzmu i nieładu, tak niezdolnej dla sumień chrześcijańskich. Atoli między komunami nie było wtenczas żadnego połączenia, a więc i działanie ich nie osłabiło feodalności.

Następstwem tego pierwszego ruchu, musiała być reforma szersza i głębiej idąca; potrzeba było, o ile stan ówczesny pozwalał, połączyć w jedno siły rozprószone, i obok organizacyi feodalnej stworzyć organizacyę gminną.

Właśnie nad tem przeobrażeniem społeczeństwa pracowały tereyarskie zakony trzynastego wieku; one to nadały taki popęd massom ludowym, że już w następnem stuleciu wszędzie zaczęły podnosić głowę instytucye reprezentacyjne. Odkąd tereyarze zobowiązali się uroczystym ślubem nie mieszać się do waśni możnych baronów, i nie walczyć orężem w ich sprawie, odtąd suzerenństwo chyliło się do upadku, a stara organizacya nie mogła się już utrzymać przy nowym obyczaju, wszechpionym przez franciszkańskich kaznodziejów. Gmach feodalny nie miał już punktu oparcia.

Ależ nie dość było naruszyć te węzły. Zdarzało się często, że mały właściciel rad nierad bywał zmuszony udawać się pod opiekę możnego domu.

W wieku gwałtów i walk, nie było sposobu dla ludzi niskiej kondycyi i ubogich, obronić się tysiącnym uciskom co chwila grożącym, tylko przez poddanie się opiece hierarchii feodalnej, która choć była uciskającą, nie mniej czuła się w obowiązku bronić tych, co jej zwierzchnictwu hołdowali.

Żeby i tę zależność usunąć, zakon tereyarski starał się dawać wszelką pomoc i bezpieczeństwo słabym i maluczkim. Krzywda wyrządzona jednemu człowiekowi bywała wynagradzana lub wetoowaną przez wszystkich.

Miasta, które dawniej były się między sobą, teraz kiedy ich mieszkańcy należeli do jednego stowarzyszenia, zaczęły się wiązać wzajemnie stosunkami, tworzyć w obec Boga jeden lud. Był to początek federacyi miast włoskich, później tak potężnej.

Tymże tereyarzom przypisać należy pierwsze usiłowania co do organizacyi przemysłowej. Mieli oni wspólny skarb, zawiadzany przez wybranych pełnomocników, z tego skarbu nietylko nędza brała zasiłek, lecz także brali znaczne fundusze ci członkowie, co zakładali jaki handel lub warsztaty.

Co więcej, zakon tereyarski, można powiedzieć wynalazł banki wzajemnego kredytu, co na wiek trzynasty było osobliwością. Dobra rozrzutnych i marnotrawnych baronów, często przechodziły w ręce członków stowarzyszenia wspartych kredytem wzajemnym.

Widzimy tedy jak stan ubożuchny uzacniony przez Ś. Franciszka nietylko dźwignął się ze swego poziomu, lecz jeszcze z ró-

żnych stron wstrząsnął organizmem feodalnym; za pośrednictwem instytucji tereyarskiej, która już działała na zmianę w obyczajowych nawyczkach ludu; już zaprowadzała solidarność między gminami, już ułatwiała członkom swoim możliwość osiągnięcia przez pracę dobrobytu a nawet zamożności.

To posłannictwo tereyarskiego zakonu było tak widoczne, miało taką świadomość dróg do celu wiodących, że zaraz od początku znalazło zaciętego przeciwnika w najwyższym naczelniku organizacji feodalnej, to jest w Cesarzu niemieckim.

Sławny mąż stanu, a oraz kanclerz Cesarza Fryderyka II, Petrus a Vineis, postrzegł niebezpieczeństwo. i w jednym z listów, które po nim się przechowały, tak pisał: „Bracia mniejsi buntują się przeciw nam, śmiają już otwarcie potępiać i obyczaje nasze i „zasady, władzę wytrącają nam z rąk, kruszą naszą potęgę. Dziś, „siaj, aby tem więcej osłabić imperyum i oddalić od nas ślepe poświęcenie się poddanych, zaczynają zawiązywać nowe bractwa, „do których wchodzić całe rzesze mężczyzn i niewiast, że prawie „nie ma nikogo, ktoby nie był u nich zarejestrowany“.

Ten list aż nadto jest wymowny.

Cesarz związany z najmożliwszymi rodami feodalnymi systematycznie wziął się do prześladowania tereyarzy, obciążając ich podatkami i kontrybucjami, w mniemaniu, że kupcy i przemysłowcy odstręczą się tem, lecz pokazało się, że chociaż pieniądź był im miły, miłszą jednakże była wolność. Gdy to nie pomogło, zmuszano ich do składania przysięgi na wierność, lecz oparli się stanowczo, i poddali się nie ułaganemu prześladowaniu; skazywano ich bez sądy na wygnanie, bez płci różnicy, bo i niewiasty i dzieci, ulegały temu losowi; mordowano tysiące bezbronnych obywateli, w czem odznaczał się okrutny Eccelino. Nic jednak nie złamało tereyarzy, tak dalece organizacja ich była potężna, a cały ten ucisk doprowadził tylko do heroicznego tryumfu, w chwili gdy miecz miał rozstrzygnąć między ludnością włoską a panowaniem Cesarzy niemieckich.

Taki był zakon tereyarski w wiekach średnich. Św. Franciszek za pośrednictwem tej instytucji, potrafił o kwestye polityczne agitujące się w Europie, podobnie jak za pośrednictwem zakonu franciszkańskiego potrafił o kwestye religijne, filozoficzne i moralne świata. Jak w jedne, tak w drugie wniósł on tego ducha mądrej i praktycznej reformy, równie przeciwnego gwałtowi

nowatorów odszczepieńczych, jak wsteczniectwu bezwzględnych zachowawców.

W obec Albigenów, tych anarchistów średniowiecznych, co w imię ideału braterstwa burzyli ustroj społeczeństwa, pośród którego żyli, a nawet nie mogli ścierpieć żadnego ustroju, Święty z Assyżu nie dążył do powszechnego przewrotu i zamętu, lecz przeciwnie stworzył nową organizację wolną i nie przymuszoną, silną moralnie lecz nigdy nie występującą, zbrojnie przeciw władzy. Nie było przykładu, żeby członkowie tercyarscy rzucili się kiedykolwiek na zamki potężnych baronów, oni uczyli się ustępować im z drogi, i obchodzić się bez nich; ani mieczem, ani ogniem nie niszczyli oni feudalnego społeczeństwa, tylko starali się stworzyć pod stopami możliwych nowy świat społeczny, który miał wszelkie prawo do bytu.

Nie brali oni udziału w żadnych zamachach stronnictw wydzierających sobie władzę, ani do ich szermierek i intryg nie należeli.... Stojąc przy prawdzie, pełni ducha pojednawczego, cierpliwie oczekiwali tej chwili, kiedy ich sprawa tryumf odniesie. Nowożytnie narody i narodowości, oto są owoce tej reformy, jaką św. Franciszek dokonał z pomocą żebrzących zakonów.

Praca tak olbrzymia wycieńczyła nareszcie świętego atlete. Jeżeli trudem nazywał rządzić zakonem i codziennie kazać z nigdy nie folgującym ogniem, to odpoczynkiem było dlań spełniać uczynki miłosierne, modlić się i cierpieć bólami męki Zbawiciela.... Nic tak wytężonego żywota musiała się prędko przerwać. Łzy wylewane przy modlitwie i rozmyślaniu wygryzły mu oczy; wychudłe nogi nie mogły utrzymać ciała; a on mimo tego nie ustając w czynności, pogorszał tylko stan swego zdrowia. Widziano go prawie upadającego na siłach, jak na osiołku przebiegał jeszcze miasteczka i sioła, i wszędzie słowo Boże opowiadał. A gdy głos jego przy dokuczliwych bólach, zapierał się w piersi, zbierał resztę sił i mówił do otaczającej go rzeszy tylko te słowa: „Jezus! Pan mój, którego tak kocham, był ukrzyżowany!“

Napróżno dla wypoczynku usunął się na górę Alwernii, tam bowiem wpadłszy w zachwyty Boskiej miłości, jeszcze bardziej rozstroił i zniszczył swej organizm, i tak już nadwątlony pracami apostołskimi.

Zostawiamy innym kompetentniejszym piórom, opisanie tych szczytnych chwil świętego męża, kiedy dusza jego nie zrywając więzów cielesnych, łączyła się bezpośrednio z Bogiem. Takie

tajemnice duchowe nie dają się roztrząsać i rozbierać środkami, przez jakie dochodzimy do źródła przyczyn w zdarzeniach ludzkiego rzeczy. porządku; przez podobną analizę fakt duchowy zniża się do fizycznego poziomu. W każdym razie zuchwalstwem jest zaprzeczać tym nadnaturalnym zjawiskom dla tego, że się nie umie ich wytłumaczyć, a większem nierównie zuchwalstwem, gdy kto nie powołany i nie wtajemniczony usiłuje drugich spoufalić z temi misteryami dusz świętych, których one same zazdrośnie chronią od ciekawości profanów.

Św. Franciszek czując zbliżający się dzień swej śmierci, a przytem wzruszony prośbami braci zakonnych, zezwolił aby go nareszcie przeniesiono do ubogiej celi przy kościele św. Damiana, gdzie św. Klara z siostrami zakonnemi mogła go łatwiej pielęgnować i leczyć, będąc biegłą lekarką. Lecz nadaremne były starania około chorego; jego wynędzniałe ciało podobniejsze było do trupa niż do żyjącej istoty. Mimo tego miłość Boga i ludzi ożywiała jeszcze gasnące członki. W omdleniach tej przymuszonej bezczynności, często wyrzucał sobie tyle lat zmarnowanych na służbie u świata. „O jakżeż ja opuszczałem się na drogach pańskich!“ — wołał nieraz i ślubował, jeżeliby zdrowie odzyskał, wrócić do pierwotnej niewinności dziecięcia. Powiadał że odtąd poświęci się usługom trędowatych, że pójdzie modlić się na puszczy, bo sam daleko od ludzi łatwiej zrozumie, jakie są potrzeby i skrytości ich natury. Chciał on usunąć się od niebezpieczeństw przywiązanych do rządzenia zakonem, powtarzając iż pożyteczniej jest służyć dobrze, niż rozkazywać tytułem władzy.

Tymczasem choroba dobiegła do kresu. Pragnął on koniecznie, przed śmiercią oglądać miejsce swego urodzenia; w jego oczach bowiem ojczyzna nie przestała być świętością zaraz po świętości kościoła. Kazał się zatem przenieść do Assyżu. W przenosinach tych towarzyszyły mu tłumy ludu wydające radośne okrzyki, bo chociaż nie miały już nadziei usłyszyć jego kazań, tem się przynajmniej pocieszały, że ostatnie konającego słowa usłyszą, i że drogie te zwłoki złożone będą w murach miasta. Pałac biskupi, gdzie zaniesiono zrazu chorego, wydawał się zbyt wykwinutym i wspaniałym dla jego pokory; przeto prosił by go umieszczono przy kaplicy Najj. Panny Anielskiej, gdzie niegdyś zawarł był śluby z oblubienicą swoją, świętem ubóstwem.

Niesiony w te miejsca pełne słodkich dla niego wspomnień, gdy znalazł się na równinie, z kąd był widok na miasto, rzekł do

otaczających go: „Obróćcie mnie ku miastu“ — a podnosząc się z łóża boleści, wyrzekł te uroczyste słowa: „Błogosławieństwo pańskie niech spocznie na tobie, o wierny mój grodzie; albowiem w tych murach i przez ciebie wiele dusz zostanie zbawionych!“ Powiedziawszy to, zalał się łzami. Przybywszy do kaplicy dyktował niby ostatnie przestrogi dawane zgromadzonym braciom zakonnym.

Na pytanie gdzie pragnie być pochowanym, odpowiedział: „Tam na piekielnej górze, kędy tracą zbrodniarzy“ — i życzenie to stało się przepowiednią.

Kazał się potem położyć na gołej ziemi, a składając ręce jak do modlitwy, rzekł: „Żegnam was dzieci moje, żegnam was wszystkich! Zostawiam was w bojaźni Boga, wytrwajcie w niej do końca. Czas próby i umartwienia zbliża się, niechże ci co dobrze zaczęli, dobrze skończą! Ja zaś spieszę do Pana, by was miłosierdziu jego polecić“.

Stosownie do życzenia umierającego brat Leo i brat Angelo zaczęli śpiewać hymn o Bracie Słońcu, dodając strofę o Siostrze Śmierci: poczem zaczął sam mdlejącym głosem odmawiać psalm 141.

„Domine clamavi ad te, exaudi me i t. d.“

I usta jego zamknęły się na wieki.

Zgon nastąpił w sobotę 4. października 1226 r. pod wieczór jednego z tych cichych, pogodnych i ciepłych jesiennych dni włoskich.

Któryś z braciszków widział, jak dusza w postaci promiennej gwiazdy wzbijała się na białym lekkim obłoku w niebiosa. O zmroku mnóstwo skowronków, tych ulubieńców Świętego, zebrało się koło domu, gdzie ich przyjaciel ducha oddał, i wesołym świątobliwym wyrażało swoją miłość ku niemu.

X.

W rok niespełna po zgonie św. patryarchy, zasiadł na stolicy apostolskiej kardynał Ugolini pod imieniem Grzegorza IX. i jemu to przypadło ogłosić światu tryumf nowego Świętego. Początek pontyfikatu Grzegorza IX. zakłóciły bunty, rozniecone przez wysłańców cesarskich w Rzymie, co go zmusiło usunąć się z razu do Spolettu, a potem do Assyżu, gdzie wszystkim biskupom Umbryi polecił robić najściślejsze poszukiwania co do życia i cudów

św. Franciszka, i ustanowił oraz komisję pod naczelnictwem kardynała Raynoldi, do roztrząsania i sprawdzania wszystkich, tak jeszcze świeżych świadectw. W procesie kanonizacyjnym przewodził sam papież; a gdy wszystkie najsurowsze formalności dopełnione zostały, bullę ogłaszającą kanonizację św. Franciszka datował Ojciec św. z Perugii na dniu 19. Lipca 1227.

Tak głowa chrześcijaństwa jak wszystka ludność przejęta wielką czcią dla Świętego, chciała na jego grobie wznieść pomnik niespożyty. Prędko, bo już 19. maja 1228 r. rozpoczęto budowę kościoła. Wezwano najpierwszych architektów, a najbieglejszych rzemieślników dostarczały miasta Umbryi, świat zaś katolicki dostarczał ze składek funduszów na wspaniałą budowę, nad którą dozór miał brat Elias. Jak szybko szła robota widać z tego, iż w dwa lata stanął już dolny kościół i część gmachów klasztornych. Na zielone świątki miano uroczyście przenieść ciało patryarchy do nowego kościoła. Obrząd ten odbywał się z nieopisaną wspaniałością i przy takim zbiegowisku ludu, że gdy ciało przenoszono, zrobił się popłoch między Assyżanami otaczającymi święte zwłoki, że takowe chcą im porwać i przenieść do Rzymu. Rzucili się więc na trumnę i wpadłszy z nią do kościoła zatarasowali drzwi, aby tylko przy nie wielu świadkach zwłoki te ukryć. Jakoż tak je dobrze schowano, że dopiero w początku naszego stulecia, odkryto takowe *).

Budowa tej pysznej bazyliki postępowała tak śpiesznie, iż w roku 1243 papież Innocenty IV. zjechał we własnej osobie do Assyżu, aby poświęcić to arcydzieło. Ceremonia święcenia odbyła się z niesłychaną okazałością.

Do dziś stoi tam na marmurowych stopniach porfirowy tron ozdobiony rzeźbami wyobrażającymi lwa, smoka, węża i bazyliżka, z wysokości tego tronu ten sam Innocenty IV. ogłosił był chrześcijańskiemu światu w roku 1252 jako w poczet Świętych pańskich policzony został męczennik, biskup krakowski Stanisław,

*) Znalezienie ciała św. Franciszka przypadło za Piusa VII. i było obchodzone z wielką uroczystością w r. 1818.

którego historia odmalowana al fresco upamiętnia ten akt uroczysty *).

Otóż święty pokutnik Assyżki, co nie miał za żywota ani dachu, ani żadnej własności, ma teraz wspaniałe mieszkanie przypominające ów pałac rycerski, o jakim śnił za młodu, mieszkanie, na które składały się najwyborniejsze talenta i najbieglejsi rzemieślnicy w chrześcijaństwie. Kościół stanął podwójny, dolny i górny. Dolna część zbudowana w stylu ciężkim, o przysiadłych lecz mocnych sklepieniach, oszczędna w ozdoby, z małymi oknami, dającymi wątpliwe światło, jakby dla przypomnienia pokutniczego św. Franciszka. Przeciwnie kościół górny lekkuchno się wzniósł w sklepienie, śmiało jakby z gałęzi uwite. Przez długie okna wpadają potoki światła, rzekłbyś ogłaszające tryumf Świętego w niebie.

Budowa w kształcie krzyża, lśniąca białym marmurem, na pamiątkę niepokalaności Najj. Panny, strzepi się dwunastą wieżyczkami z czerwonego marmuru, symbolizującymi męczeństwo dwunastu Apostołów.

*) Rzadka dziś książka: Relacya o wielkiej świątnicy albo Bazylice Assyżkiej i t. d. ułożona przez x. Ludwika Elbinga franciszkanina w Krakowie roku 1727, takie podaje szczegóły o kanonizacyi św. Stanisława w Bazylice Assyżkiej:

„Dnia 17. września r. 1253 w przytomności posłów Bolesława Pudyka króla polskiego i katedry krak. Innocenty IV. papież pontificali-ter ubrany, na wysokim zasiadł solium, któremu prałaci i panowie asystowali, a purpuraci rzymscy pro sua dignitate, nisko zasiadłszy w koło słuchali publicznych o kanonizacyi sługi bożego Stanisława przez mianowanych oratorów instancyi. Po których z rozkazu Papieża 1) Cajetanus Ursinus, kardynał, który potem był Mikołajem III. papieżem, z ambony marmurowej czytał sługi bożego Stanisława żywot, gesta, męczeństwo i cuda, które jak skończył Rainaldus de Comitibus, Episc. Ostien. kardynał, w rok Innocencyusza sukcesor godny, na pochwałę św. Stanisława powiedział panegiryk, a potem papież z tronu swego powstawszy i Ducha św. przez Veni Creator na assystencję wezwawszy, solita verborum formuła św. Stanisława męczennikiem Chrystusa deklarował, i dzień śmierci jego za fest universalnemu kościołowi nazначył. Potem Te Deum Laudamus zaczęto, a potem mszą św. solenną sam papież śpiewał.

Z rozkazania Innocentego IV. papieża w Bazylice assyżkiej przy ambonie, z którego czytane jest życie etc. św. Stanisława, jest wystawiony ołtarz pod wysokiem arkiem. A między relikwiami ramię jego chowając, które w rok tam biskup i kanonicy krak. posłali. Jest o tem świadectwo list Alexandra IV. papieża, którego początek: Ad veneranda merita etc. Dat. Later. 7. Kal. Feb. pontif. Ann. 2^a

Nie poprzestali na tem artyści średniowieczni; oni bowiem dzieł swoich nie uważali za skończone, jeżeli wszystkie rodzaje sztuki nie przyczyniły się do ich uzupełnienia. Nie dość im było kłaść kamień na kamieniu; kamienie powinny były jeszcze przemawiać językiem malarstwa, zarówno zrozumiałym dla uczonych i możnych jak dla prostaczków i małuczkich. Pokryły się więc sklepienia obu bazylik lazurówem polem, zasianem gwiazdami. Przypatrzmy się nieco szczegółowiej wspaniałości tego monumentu w jego bogatych ozdobach.

Grób św. Franciszka i pyszna gotycka budowa wznosząca się nad nim, wszystko to ściągało na święte miejsce malarzy i rzeźbiarzy z całych Włoch, którzy przybywali naprzód uderzyć czołem na grobie patryarchy, a potem brali się do pędzla, aby freskami okryć ściany bazyliki. Natchnienie brali oni z tych dogmatów powtarzających mękę pańską, i z tego żywota utkanego z legend pełnych najwdzięczniejszej poezyi.

Owóz spotykamy tu malarza z trzynastego wieku, nazwiskiem Giunta Pisano; był on pierwszym, co się wyłamał z surowych i zimnych form bizantyńskiego malarstwa, i sztuce otworzył drogę odrodzenia się i postępu. Świadczy o tem wizerunek św. Franciszka, przezeń odmalowany na drzwiach zakrystyi, podług opowiadań żyjących uczniów Świętego.

We freskach franciszkańskiego malarza Mino da Turrita, przebija się styl bizantyński; atoli z tych malowań ledwie ślady dziś zostały, z powodu że powybijano dziś ściany do później przybudowanych kaplic. W r. 1250 przybył Cimabue do Assyżu, i zastał tam wielu greckich malarzy, powołanych przez Innocentego IV., których wyraźny wpływ okazał się na jego malowaniach. Jego to pędzla są w górnej bazylice postaci czterech doktorów kościoła św. Ambrozego, Augustyna, Grzegorza i Hieronima, niemniej wielkie freski z Nowego Testamentu. Atoli jak mówi Dante:

Pola malarstwa niegdyś Cimabue

Mniemał być panem, dziś ma poklask Giotto,

Że już tamtego sławę émić poczyna.

W rzeczy samej, więcej niż pędzlem tem się zasłużył Cimabue, że Giotto wynalazł. Biedny pastuszek spotkany przez Cimabuego jak rysował na płaskim kamieniu owieczkę, stał się tym, co sztukę malarską wyrwał z martwoty bizaueckiego naśladownictwa, i nadał jej głęboki charakter łaciński. Giotto pod freskami Cimabuego odmalował w górnym kościele wszystkie wypadki

z życia św. Franciszka; w dolnym zaś wyobraził w symbolicznych freskach jego cnoty chrześcijańskie i zakonne, jako to: święte posłuszeństwo, świętą roztropność, świętą pokorę, święte ubóstwo i świętą czystość; na ostatnim zaś planie apoteozę św. Franciszka, który jaśniejący w promieniach, w bogatej szacie diakona, siedzi na złotym tronie, otoczony chórem aniołów śpiewających jego chwałę. Słowem życie św. Franciszka było treścią wszystkich utworów Giotta; ten jego idealny pierwowzór, powtarzał się w każdym niemal dziele malarza, taką miłością pałała dlań dusza artysty. Bardzo można przypuścić, że i witraże assyjskie wyobrażające patryarchów, proroków i apostołów były robione podług kartonów Cimabuego i Giotta, co zaś nie podlega wątpliwości, że okna w dolnej bazylice z cudami św. Franciszka są kompozycyi tego ostatniego.

Sławni Simon Memmi, uczeń Giotta, malarz szkoły Siennejskiej, przybył także do Assyżu, aby kaplicę św. Marcina scenami z żywota tego Świętego ozdobić. Dziełem jego ręki w wielkim refektarzu jest Madonna w gronie czterech świętych, i obraz w ołtarzu św. Elżbiety, lecz tego już nie ma

Margaritone Cavallini ma być autorem tych olbrzymich figur, znajdujących się w zagłębieniach okiennych górnego kościoła; a Pietro Cavallini odmalował przecudne ukrzyżowanie pańskie, także w górnej bazylice. W utworach obu tych malarzy znać uparte trzymanie się typów starobizanckich, jakby na przekór nowatorstwu Giotta.

Nawet sztuka rzeźbiarska w XIII. wieku, aczkolwiek nisko stojąca, uczuła się podniesioną w osobie Florentczyka Fuccio, który pięknem dłutem wykonał do Assyżu nagrobek Hekuby Lusignan.

W XIV. wieku odmalował Puccio Capanna ze szkoły Giotta w dolnej nawie grób Chrystusa i niektóre momenta z życia Zbawiciela. Oprócz tego obrazami swego pędzla ozdobił kaplicę portiunkuli i inne kościoły assyjskie. Giottino zaś, którego znawcy wyżej stawiają nad Giotta pod względem formy i kolorytu, okrył był ściany kaplicy św. Antoniego padewskiego scenami z życia św. Szkoła, że dzieło to czas zniszczył. W dolnym kościele ozdobił freskami kaplicę św. Mikołaja z Bari, a w sali kapitulnej jego pędzla jest krzyż otoczony płaczącymi aniołami, przed którym kłęczy św. Franciszek i św. Klara. W tych utworach Giottina można się zdumiewać dziwną harmonią kolorów, i wyrazem ludzkich

twarży nader charakterystycznych i przemawiających. Malarz ten nie szukał zysku z swej pracy; zrobić obraz było dlań aktem wiary, modlitwą; lubił też samotność, i z tęsknoty zgasł w młodych latach.

Tadeusza Gaddi są freski po prawej stronie dolnej bazyliki, przedstawiające żywot Zbawiciela i Najj. Panny z porywającym urokiem.

Z tego czasu spotyka się tam malowanie Buonamico, Buffal-macco, Stefana Fiorentino, Jana Melano, wszystko znakomitości średniowiecznej sztuki. Zdawałoby się, że w miejscu uświęconem życiem św. Franciszka, mieszka szczególne błogosławieństwo, nie dopuszczające zepsucia i skażenia w rozwijającej się sztuce. Ztąd też jak wonne kadzidło, co się wzbija do nieba, wznosiły się gorące i skruszone modły, i spadały podobne do orzeźwiającej rosy na społeczeństwo rozbite i zepsuciem skalane.

Aluigi z Assyżu znany w historii sztuki pod przydomkiem Ingegno, przyjaciel i współuczeń Rafała, malował kaplicę obu świętych Ludwików *) z porywającym wdziękiem, czterech proroków i cztery Sybille. Dolną nawę ozdobił Mikołaj z Foligno pięknymi freskami męki pańskiej. Vasari zachwyca się nad płaczącymi aniołami w tych obrazach, i wzywa współzawodnictwa pierwszych mistrzów w nadaniu figurom swoim tak przejmującego wyrazu. Foligno postarał się o drugiego podobnego mu posłannika sztuki, i sprowadził do Assyżu błogosławionego Pietro Antonio, który w kaplicy szpitalnej odmalował cud z życia św. Jakóba. Do tejże epoki należą przedziwne stalle górnego kościoła, w liczbie dwustu, które rzeźbiarz Dominichino de San-Severino, z polecenia generała zakonu wyrzeźbił.

Szczególniejszą pobożnością odznaczeni się malarze pochodzący z samego Assyżu, którzy czerpiąc natchnienie z tych miejsc uświęconych i błogosławionych, ubiegali się o składanie wspaniałych ofiar swego talentu. I tak: Franciszek Vagantio malował kaplicę św. Opata Antoniego; Martelli obok kaplicy św. Ludwików zrobił obraz Boga Ojca i Ukrzyżowania; Giorgetto męczeństwo św. Sebastjana w kaplicy poświęconej temu patronowi, w zakrytych zaś wiarę, nadzieję i miłość; Martinelli drobne freski w kaplicy św. Antoniego z Padwy; pędzla Cezarego Sernei są wielkie freski w tej samej kaplicy, powstały one na miejscu dawnych fresków

*) Ludwika króla francuzkiego i Ludwika biskupa Tuluzy.

Giottina zniszczonych przez czas i wilgoć. Tenże sam malował przy wchodzie dolnego kościoła, po jednej stronie zwiastowanie Najj. Pauny, po drugiej anioła zwiastującego matce św. Franciszka, że syna na świat wyda; w chórze zaś podług Dantego boskiej komedyi: piekło, czyściec i raj. Adone Doai odmalował historię pierwszego męczennika św. Szczepana, a w krużganku gotyckim zbudowanym przez Piusa IV. cały żywot assyżkiego patriarchy, gdzie znamienite postacie braci zebrzącego zakonu, z wyborną charakterystyką wyobraził; nareszcie w wielkim refektarzu wykonał ukrzyżowanie, w głębi z widokiem na Jeruzalem i Assyż, a na pierwszym planie u stóp krzyża św. Franciszka i św. Klarę, zaś w mniejszym refektarzu wieczerzę pańską. Tenże sam przedmiot traktował Solimene w wielkim refektarzu, gdzie także znajdują się roboty Lamparellego de Spallo i Benedetto Forguoni. Nieporównanej piękności Cyboryum w wielkim ołtarzu dolnego kościoła, rzeźbione z miedzi złoconej i pośrebrzanej, wykonane było w XVI. wieku mistrzowską ręką artysty z Perugii Giulio Dante.

Tak przystrojony grób św. Franciszka zajmował w przekonaniu ludów średniowiecznych drugie zaraz miejsce po grobie Zbawiciela.

Wyliczyliśmy tylko nazwiska artystów, i tytuły ich dzieł, z tego suchego katalogu nie można sobie zrobić wyobrażenia o tych utworach natchnionych wiarą, i o wrażeniu jakie wywierają. Czujesz tu, gdziekolwiek się zwrócisz oczyma, że ta gorącość zapалу tryska z jednego źródła, a tem źródłem i mistrzem nie kto inny tylko św. Franciszek. „Trzeba być na miejscu, mówi Ozanam, aby zrozumieć z kąd się wziął Giotto, i z kąd wyszło jego apostołstwo sztuki, ledwo mimochodem dotykane, apostołstwo które prowadziło go do Pizy, do Padwy, do Neapolu, do Awinionu, zostawiając wszędzie, gdzie przechodził nietylko cudowne utwory swego pędzla, ale i uczniów na setki, co go studyowali i prześcigali, rzucając tym sposobem całą Italię na tory nowego powołania, gdzie miała zebrać tyle wieńców niepożytej chwały.“

Jeżeli mię nieco dłużej zajął pogląd na zbudzenie się i rozkwit sztuki malarskiej we Włoszech, to głównie z tego względu, że ten objaw był niejako zwiastunem zbliżającej się wielkiej epoki dla literatury. Niech jeden naród zacznie tylko z łona ziemi wydobywać głazy, obrabiać je, wiązać w słupy i łączyste sklepienia, ściany ozdabiać malowidłami i rzeźbami, że nigdzie na cał puste miejsce nie zostanie, można zaraz być pewnym, że w takim naro-

dzie wylęła się myśl, która kielkuje już w symbolizmie architektonicznym, już wyraźniej się tłumaczy w konturach rysunku, a niebawem znajdzie słowo zdolne harmonijnie i dokładnie tę myśl wyrazić. Za tym orszakiem wielkich artystów przeciągających pod łukami bazyliki assyżkiej, wysypie się z cieniów świątyni cały szereg poetów, grupujących się w piramidę, na której szczycie stoi nieśmiertelny śpiewak piekła, czysca i raj.

Tak więc za wzorem swego fundatora zakon żebrzący nie tylko przez wieki przeprowadzał reformę społeczną, jedną z największych, bo zrównał stany nie tą urojoną i grzeszną równością, co chce pod strych jakiejs średnio proporcjonalnej miary porównać różnicę talentów, wychowania, nauki, własności, ale tę, co człowiekowi słusznie się należy: równość w obliczu prawa i sprawiedliwości, lecz jeszcze przyłożył się do odrodzenia poezyi, malarstwa, filozofii, słowem dotknął wszystkich stron życia i wszystko odnowił. Krótko mówiąc, duch assyżkiego pokutnika unosi się na początku każdej rzeczy, którą dziś kochamy i szanujemy, której bronić jesteśmy gotowi od najazdu tegoczesnych Wandalów, spiknionych na zagładę chrześcijańskiej cywilizacyi.

LUCYAN SIEMIENSKI.

KONSTYTUCYA 3. MAJA

i

MOCARSTWA NIEMIECKIE.

(Polityka dworu austriackiego w sprawie konstytucyi trzeciego maja. — Opowiadanie historyczne z czasów sejmu czteroletniego, przez ks. Waleryana Kalinkę. W Krakowie, L. Paszkowski, 8vo. 63 str.)

Wyjaśnienie związku między dziejami rozbioru Polski a rewolucją francuzką, wyjaśnienie wpływu, jaki ta rewolucya wywierała na losy kraju naszego, a znow na odwrót rozbiory Polski na politykę dwóch wielkich mocarstw niemieckich wobec rewolucyi francuzkiej — jest niewątpliwie zasługą dwóch niemieckich historyków Häussera i Sybba. A chociaż z ich tendencyjami i zapatry-

waniami nieraz zgodzić się nie możemy, to przecież zasługę tę w zupełności im pozostawić należy. Francuzcy historycy piszący o tej epoce nawet jednym słowem o tym związku nie nadmienili; co pochodziło głównie ztąd, że nie mieli przystępu do archiwów berlińskiego i wiedeńskiego, które dopiero kwestyę tę wyjaśnić mogły. Ale i historycy niemieccy choć zajmowali się więcej historią ostatnich lat istnienia Rzeczypospolitej polskiej niż my sami, choć na tem polu pracował u nich cały szereg znakomitych pisarzy jak Häusser, Sybel, Hüffer, Herrmann (co do ostatniego — zastrzegamy się — nie odnosimy doń przydomku: znakomity) nie wydobyli jednak na jaw wszystkich ważnych szczegółów, rzucających jasne światło mianowicie na politykę dworu austriackiego, szczegółów ukrytych w przeważnej swej części w archiwum wiedeńskim, którego wspomnieni pisarze albo wcale nie znali, albo tylko pobieżnie i to po napisaniu już głównych swych dzieł jak n. p. Sybel.

Że z archiwum wiedeńskiego da się wydobyć jeszcze nie jeden bardzo ważny szczegół, o tem przekonała nas ostatnia praca Waleryana Kalinki, jedynego z naszych dzisiejszych historyków, który w traktowaniu dziejów ostatnich lat kraju naszego wzniósł się do wysokości wielkich historyków zagranicy, którego imię godnie stanąć może w szeregu najjaśniejszych gwiazd historycznej literatury. Szczycimy się tem, żeśmy jedni z najpierwszych, zwrócili uwagę nie tylko naszej ale i niemieckiej publiczności na nieocenione, przed pięciu laty wydane dzieło zasłużonego naszego autora, przystępując stanowczo do jego zapatrywań i składając przynależny hołd ze wszech miar znakomitej jego pracy*). Kiedy więc teraz krakowskie pisma doniosły, że W. Kalinka będzie miał odczyt o polityce dworu austriackiego w sprawie konstytucyi 3. maja, przyjęliśmy wiadomość tę z jednej strony z wielką radością, przypuszczając już naprzód, że odczyt ten przyniesie cenne owoce dla znajomości dziejów naszych, z drugiej z rzeczywistą i może usprawiedliwioną zazdrością, że dla nas mieszkających we Lwowie, żywe słowo prelegenta będzie niejako stracone; nasamprzód więc szczere podziękowanie składamy szanownemu autorowi, że ogłaszając drukiem swój odczyt krakowski, nie przepomniął i o tych, którzy słuchać go w Krakowie nie mogli, że zrobił z prelekcji swej własność publiczną, którą skwapliwie wzięliśmy do rąk, uważając

*) Uczyniliśmy to najprzód w Dzienniku Literackim, rok 1868, nr. 33 do 38, a potem w Sybels Historische Zeitschrift, tom XXI, str. 125—173.

ją za zadatek przyszłego obszerniejszego dzieła, którego obyśmy się jak najprędzej doczekali. Że w ramach jednej prelekcji, choć trwającej siedm kwadransy, nie da się przedmiot taki wyczerpująco przedstawić, wiedzieliśmy dobrze, bośmy sami od dość dawnego czasu na polu tem pracowali, starając się poznać to, co w ostatnich latach zagraniczna literatura w kwestyi tej uczyniła. Że więc w tak krótkiej rozprawie wtajemniczonemu w przedmiot czytelnikowi dadzą się dostrzedz niewypełnione luki, na to byliśmy przygotowani, lecz mimo to, żeśmy zdolności autora oceniali bardzo wysoko, żeśmy się po nim spodziewali więcej jak po którymkolwiek choćby najznakomitszym z naszych pracowników, wyznajemy z radością, że nie śmieliśmy się nigdy spodziewać, iż luk tych będzie tak mało, iż przedmiot tak obfity da się na kilkudziesięciu stronicach traktować tak jasno i wyczerpująco, jak w pracy, o której mowa. Że sądy będą trafne, poglądy jasne, charakterystyki wyraziste i dobitne, o tem nie wąpiliśmy na chwilę, a oczekiwanie nasze spełniło się zupełnie, lecz aby tak wyczerpująco, z wysunięciem na pierwszy plan najważniejszych wypadków i względów, z ustawieniem w półświatle tego, co podrzędniejszą odgrywa rolę, a z usunięciem wszystkich niepotrzebnych akcesoryi, na kilkudziesięciu stronicach potrafić objąć i z taką niesłychaną jasnością przedstawić tak wielki temat, na to potrzeba mistrzostwa, jakie pomiędzy historykami naszymi posiada jedynie Waleryan Kalinka i nikt więcej.

Obszerne studia, jakich z nas nikt nie robił, gruntowna znajomość wszystkiego, co w ostatnich latach wydała o przedmiotach tych zagraniczna literatura (o literaturze naszej nie wspominamy, bo znajomość jej u takiego pisarza sama się przez się rozumie), sumienne zbadanie skarbów wiedeńskiego archiwum i krajowych zbiorów, niewątpliwe uzdolnienie polityczne, bystry wzrok, brak uprzedzeń, mistrzowskie władanie piórem — wszystko to postawiło autora dzisiaj na takiej wysokości, że daleko wszystkim do niego. Może to zdanie nasze napotka na opozycję, może się nie zgodzą na nie ci, których uprzedzenia i mrzonki polityczne wiodą do czczych deklamacji i niesmacznych, choć w tomy obfitych prac innych pisarzy, my jednak szczerze je wypowiadamy, sądząc, że zgodzi się z nami przeważna większość światłej publiczności. Rezultaty badań w wiedeńskim archiwum napotykały prawie na każdej stronicy pracy autora; widać, że pisał to historyk, który się nie zadawał tem, co inni odkryli, lecz sam dociera do pierwotnych źródeł i z nich nowe zdobycze na jaw wydobywa. Kilka depesz

Kaunitza i Cobenzla, które autor streszcza, dotąd wcale nam znane nie były a wyjaśniają one znakomicie stosunki Austrii; przede-wszystkiem zaś stanowisko i polityka Katarzyny, doznały tutaj tak trafnego, dosadnego i mistrzowskiego ocenienia, jak w żadnem ze znanych nam dzieł. Dwa reskrypta jej do Potemkina zużył autor tak, jak się tego można było po nim spodziewać.

Jako sumienni sprawozdawcy nie chcielibyśmy się ograniczyć na wyliczaniu samych dodatnich stron zajmującej tej rozprawy, lecz chcielibyśmy także wskazać owe lekkie cienie znakomitej pracy, wspomniane owe luki, które jeżeli się da, będziemy się starać sami zapełnić.

I.

Trudno sobie wyobrazić politykę podstępniejszą, chytrzejszą nad politykę pruską w obec konstytucyi 3. maja. Nawet taki patriota pruski, jak Häusser — niewątpliwie najzdolniejszy ze wszystkich nowszych niemieckich historyków — bynajmniej tego nie tai. Przyznać jednak musimy, że nie tylko sami wystawiliśmy się na to grożące nam od Prus niebezpieczeństwo, ale żeśmy nawet sami stworzyli je i wywołali. Chwila ta datuje się już od dawien dawna; rzućmy tylko okiem daleko wstecz.

Sekularyzacya z r. 1525 w historycznych naszych dziełach osądzana bywa zdaniem naszym zwykle z zupełnie fałszywego stanowiska. Akt ten uważa się zwykle za błąd polityczny. Jest to sąd wypowiedziany nie ze stanowiska ówczesnego, nie z uwzględnieniem panujących wtedy stosunków, lecz ze stanowiska teraźniejszości, z okiem zwróconem na ogromną późniejszą wielkość Prus, na niebezpieczeństwa wynikające nie z tego aktu, lecz z innych kroków, niewypływających zeń bezpośrednio. Sekularyzacya Prus z r. 1525 błędem politycznym nie była. Księstwo pruskie w roku tym stworzone nie zawierało dla Polski żadnych niebezpieczeństw, owszem przeciwnie. Jeżeli zakon niemiecki dzierzący przedtem władzę nad Prusami, ów, jak go zwano, szpital szlachty narodu niemieckiego, w skutek bezustannych swych związków z wielką germańską ojczyzną, i nieskończonego napływu coraz to świeżych elementów, mieścił w sobie tak groźne dla nas materyały, że Polska aż pół wieku przeszło potrzebowała, aby go zgnieść wreszcie, to z drugiej strony utworzenie księstwa pruskiego nadawało od razu całemu temu kraikowi wcale odmienne warunki, zrywało wszel-

kie jego związki z Niemcami, stawiało go nawet na wprost wrogiem stanowisku do cesarstwa. Rzucona na xięcia Albrechta przez cesarza Karola V. banicya, zakaz wszelkich z cesarstwem komunikacyi, oddalały go stanowczo od interesów Niemiec, kazały mu szukać opieki i obrony jedynie w Rzeczypospolitej polskiej. O połączeniu Prus z Brandenburgiem wtedy nawet mowy nie było, bo akt sekularyzacyjny opiewał jak najwyraźniej: że xięstwo pruskie odziedziczyć mogą tylko potomkowie prostej linii Albrechta i dwóch rodzonych jego braci, skoroby linie te wymarły, natenczas kraj ten przejść znów winien bezwarunkowo na własność korony polskiej.

Jakież tu — pytam — niebezpieczeństwo? Czy kraik pruski mógł zagrażać Polsce, czy mógł przynieść uszczerbek wielkiej monarchii Jagiellonów? Nie widzę w tem z politycznego względu żadnego błędu. Zważmy zaś jeszcze, że ten nowy xiążę był bardzo blizkim krewnym Jagiellonów, że po matce płynęła w nim krew polska, że liczne związki przyjaźni łączyły go z magnatami polskimi — przypominam tylko Krzysztofa Szydłowieckiego — że nie był on ani zaciętym wrogiem Polski, ani zapalonym germanizatorem, a jeżeli nie dawno przedtem staczał z Polską boje, to niewątpliwie więcej ze względów na swoje znaczenie, na powiększenie swej władzy, niż z zachcianek germanizacyjnych, niż dla sprawy niemieckiego narodu; zważmy, że przez układ z r. 1525 stawał on się hołdownikiem polskim i to nie dla czezej formy, hołdownikiem po banicyi cesarza Karola zupełnie od Polski zawistym, potulnym, pokornym, nadskakującym, wielce nieraz królowi usłużnym; zważmy to wszystko, a dojdziemy niewątpliwie do przekonania, że akt z r. 1525 błędem nie był.

Odpowiedzą nam może: że lepiej przecież było wyrzucić z Prus wraz z zakonem samego Albrechta i zagarnąć cały kraj na własność. Niewątpliwie, lecz na to potrzeba było prowadzić nową wojnę, a co to znaczyło dla biednego Zygmunta toczyć w tym czasie wojnę, wystarać się o potrzebne fundusze, pozyskać aprobatę nieskorej do ofiar, butnej, upornej szlachty, zebrać wystarczającą, w przeważnej części z najemników złożoną armią, ocenić potrafi tylko ten, komu znane są kłopoty króla podczas ostatniej wojny pruskiej, bezustanne od hord tatarskich grożące niebezpieczeństwa, zniszczenia, pustoszenia i pożogi, wynikające z samego przemarszu takich pułków najemnych, a wreszcie powtarzające się niemal rok rocznie coraz to namiętniejsze opozycye szlachty. Wśród takich okoliczności — nie dziwimy się temu bynajmniej — wołał Zygmunt

i cała rada jego, duchowni i świeccy dygnitarze, załatwienie pokojowe, wypełnienie warunków toruńskich, niż nową, choćby nawet nie bardzo zaciętą walkę, doprowadzającą — a może i nie — do zupełnego zawładnięcia nad krajem pruskim.

Powtarzamy więc raz jeszcze: błędem politycznym akt z roku 1525 nie był, ale było niem już wkrótce potem odmówienie Albrechtowi udziału w naradach senatu polskiego, w elekcyach królów; im więcej się bowiem wciągało xięcia w sam rdzeń spraw polskich, tem więcej stanowczo odrywało go się od ojczyzny niemieckiej. Takim błędem było dalej bezustanne, gorliwe staranie króla polskiego o zniesienie banicyi rzuconej na Albrechta, im dłużej bowiem xiążę w niej pozostawał, tem bardziej oddalał się od interesów germańskich, zniesienie zaś banicyi znów go do nich zbliżyć musiało. Były to już błędy, ale błędy podrzędne, ważniejsze niestety niezadługo miały nastąpić, i były tak stanowcze, że one to stworzyły dążenie Brandenburgii do podziału Polski, że one to podsunęły jej myśl dzieła, które wreszcie w drugiej połowie przeszłego wieku do skutku przyszło.

Kiedy linie Albrechta i braci jego wymarły — co bardzo niezadługo nastąpiło -- cóż robi Polska? Oto bez wszelkiej potrzeby, mimo zaciętej opozycyi pruskich stanów domagających się stanowczo przyłączenia do Polski, poświęcających nawet na to wcale znaczne sumy — oto łączy te Prusy z Brandenburgią, rozszerza prawo lenne na linię brandenburską, której układ z r. 1525 lenna tego wcale nienadawał.

Hic Rhodus, hic salta! W tem cała trudność, tutaj olbrzymi, niezmierny błąd! Z jakich powodów postąpiła tak niezręcznie korona polska, dotąd nie wiemy, chyba może zapasy archiwum berlińskiego lub królewieckiego kryją w sobie tę tajemnicę. Niepodobno przecież, żeby ówczesny rząd polski nie widział, jak ogromne przez to stwarza dla siebie niebezpieczeństwo, nie takie wprawdzie, jakim się ono stało w przyszłości, lecz w każdym razie takie, że lada lichy polityk mógł się na niem poznać. Xięstwo pruskie same w sobie nie zagrażało Polsce żadnem niebezpieczeństwem, owszem musiałoby się było z czasem zlać z sąsiednimi polskimi dzielnicami, — gdy tymczasem xięstwo pruskie, choć lenne, złączone z Brandenburgią, stawało się potęgą jeszcze wprawdzie nie groźną, ale zawsze już taką, z którą się liczyć należało.

Polska to sama nakreśliła elektorom brandenbuskim przyszłość ich polityki. Nic naturalniejszego, że odtąd starać się oni za-

czeli o to, żeby zrzucić z siebie więzy lenna polskiego, i zamienić xiążące Prusy na allodium, na zupełną swą własność. Celu tego dopiął pierwszy zdolny elektor brandenburski, Fryderyk Wilhelm, i to mimo krwawych klęsk trzydziestoletniej wojny, która całą prawie Brandenburgią zamieniła w pustynię. Teraz więc znów o wiele gorzej stanęła sprawa ta dla Polski, teraz miała ona już u granic swoich jak naówczas wcale potężnego xięcia, którego ramiona sięgały nawet w sam rdzeń kraju naszego, teraz nasuwał się elektorom brandenburskim nowy żywotny cel ich polityki: złączyć xięstwo pruskie, oddzielone od Brandenburgii Prusami królewskimi, z właściwem elektorstwem. Cel taki zagrażał Polsce stratą Prus królewskich, stratą ujścia Wisły i wybrzeża morskiego. Spełnienie tego serdecznego życzenia zapowiadał już przyjęty przez elektorów brandenburskich tytuł króla Prus, kto się bowiem zwie królem Prus, ten musi dążyć do tego, żeby to imię zamienić w rzeczywistość, żeby się stać królem całych Prus. Celu tego dopiął znowu pierwszy z kolei zdolny król pruski, Fryderyk II, a dopiął zapomocą pierwszego podziału Polski. Po tej ciężkiej katastrofie pozostawały jeszcze miasta Gdańsk i Toruń w ręku polskiem, dwa niejako widome punkta, na które się oczy rządu pruskiego bezustannie zwracały, aż i one przeszły w jego posiadanie.

Tak więc niestety, uderzmy się w piersi i wyznajmy, że Polska sama nakreślała po roku 1525 tory przyszłej początkowo brandenburskiej a później pruskiej polityce, że sama u granic stworzyła sobie najzaciętszego przeciwnika, który dziś wzrósł do tak olbrzymiej potęgi, że nawet kresu jej nie śmiemy oznaczyć. Tak zaiste żadne mocarstwo nie ułatwiało jeszcze sprawy swym wrogom, Polacy byli pod tym względem prawdziwymi mistrzami, których nikt nie wyprzedził. I cóż w tem dziwnego? Czyż kiedykolwiek miała Polska zdolnego polityka? Chyba kiedyś w zamierchłej przeszłości! Ludzi stanu, dyplomatów, nie było u nas nigdy, najmniej zaś w ostatnich latach wolności Rzeczypospolitej.

Nakreśliwszy tu tory polityki pruskiej, wskazane najprzód elektorom brandenburskim a potem królom pruskim przez Polskę samą, przechodzimy teraz do tego jej stadium, w którem już dwa pierwsze cele były osiągnięte, w którem już xiążące Prusy złączyły się nawet terytoryalnie z Brandenburgią.

Na tronie pruskim zasiadł po śmierci tego Fryderyka, który politykę pruską doprowadził do drugiego wytkniętego jej celu. król Fryderyk Wilhelm II. zwany tłustym. Waleryan Kalinka tak go dosadnio i trafnie scharakteryzował, że nawet byśmy się nie

kusili o zręczniejszą charakterystykę, użyjemy więc bez zmian jego własnych słów: „Była to ogromna masa ciała; natura gruba, zmysłowa, niezmiernie wrażliwa, bez głębszego, wewnętrznego balastu, działająca zawsze pod wpływem jakiegoś doradcy, tam i sam popychana wypadkami, które ją do głębi poruszały. Mówił prędko, w sposób urywany, często bez związku; nie zdolny do spokojnego i rozważnego wywodu swych myśli. W 40 roku życia przyszedł do władzy bez doświadczenia i gruntownych wiadomości, bez nawyknienia do pracy. Jego żywy temperament nabawiał go ciągłych ekscytacji, z których jednak prędko opadał. Znużony skarżył się wtedy na monotonność swego życia, czuł pustki w duszy i zdarczenia polityczne przyjmował skwapliwie jako rzecz, która go rozciekawiała i stawiała znów na nogi, budziła do życia. Przystępny dla szlachetnych przedsięwzięć, nie umiał w nich wytrwać i zawsze po pierwszym wybuchu serca, wracał w nim interes, rozum jego ministrów rządzący się niesumienną i bez miary chciwością. Miał on, to prawda, sporą dozę uczucia swej królewskiej godności i pod jego wpływem nieraz szlachetnie i pięknie poczynął, odrzucając wtedy stanowczo wszystkie rady temu przeciwnie. Ale wnet się przesycił tą rolą i powoli zwracał się przeciw tym, którym zrazu przyjacielską był podał rękę. Stokroć niebezpieczniejszy od swych ministrów, którzy od razu i otwarcie stawiając interes Prus jako najwyższą w polityce zasadę, w nikim nie wzbudzali ufności. On przeciwnie zawsze na początku miał dość szlachetności by obudzić zaufanie a w końcu zawsze dosyć cynizmu, by tego zaufania nadużyć. Dzięki uformowanej przez swych poprzedników rządowej i dyplomatycznej szkole, wyćwiczonej armii i zebranych skarbow, dzięki także zawikłaniom politycznym, monarcha ten mógł przez lat kilka uważać się niemal za arbitra Europy i puszczając w ruch swą machinę dyplomatyczną, przesuwając armie od jednych do drugich swych granic, mógł bez zdobycia oręża dawać otuchę słabym, grozić silniejszym, trzymać w szachu najpierwsze potęgi Europy“. Kiedy więc król taki zajął tron pruski a minęły miodowe miesiące każdego nowego monarchy (bo kiedyżby opinia publiczna nie spodziewała się prawie cudów po każdym następcy tronu?), wtedy obudziła się w kraju stanowcza opozycja przeciwko rządowi faworytów, wprowadzonemu do zamku berlińskiego przez Fryderyka Wilhelma II. Cała powódź zaciętych paszkwilów sypnęła się jak z roga obfitości, tak że trudno powiedzieć — jak sądzi Häusser (*Deutsche Geschichte* I., 199) — co robi smutniejsze wrażenie, czy beztaktowne podchlebstwa z r. 1786, czy też brudne

pamflety, które już w dwa i trzy lata potem rzucano na króla, jego kochanki i faworytów.

Z takim to królem miała Polska do czynienia w tak ważnej epoce czteroletniego sejmu, z nim zawarła dnia 29. marca 1790 r. w Warszawie sojusz, obejmujący traktat przyjaźni Prus i Rzeczypospolitej, gwarancję obustronnych posiadłości a w razie nieprzyjacielskiej zaczepki z jakiegokolwiek strony, najprzód przyrzeczenie przyjacielskiego pośrednictwa, a gdyby to nie skutkowało, zbrojnej pomocy. Zastrzeżono się prócz tego wyraźnie przeciw każdemu wmięszaniu obcego mocarstwa do wewnętrznych spraw Polski. Za tym sojuszem pójść miał traktat handlowy, aby położyć koniec wszelkim niesnaskom i sporom pomiędzy Polską a Prusami.

Sojusz ten zawarły Prusy pod wpływem wrogiego stanowiska, jakie wówczas w obec Rosyi zajmowały, popierane w tych dążnościach przez Anglię i Hollandyę. Już się nawet zdawało, że niezadługo przyjść musi do stanowczego starcia pomiędzy carową a królem Prus, Anglia już wysłać miała ultimatum do Petersburga, w Berlinie już ministerstwo obradowało o wojnie z Rosyą, a burza jeszcze bynajmniej nie była zażegnana, choć już o wiele mniej jak dawniej groźną, kiedy nastąpiło u nas 3. maja 1791 r. ogłoszenie znanej nam wszystkim konstytucyi, mającej anarchiczną Rzeczpospolitą zamienić w konstytucyjną, dziedziczną monarchię.

Kiedy wiadomość o tej zmianie przyszła do Berlina, oświadczyło się ministerjum pruskie z Hertzbergiem, reprezentantem polityki Fryderyka, na czele stanowczo przeciw tej uchwale i wypracowało projekt instrukcyi dla pruskiego posła hr. Goltza, w której przedewszystkiem wychodzono z tej zasady, że Polska wewnątrz uorganizowana i przez dziedzicznego króla rządzona stanie się groźnem dla Prus niebezpieczeństwem. Król sam tymczasem nie tylko nie poszedł za wolą ministerstwa, ale nawet uwiadomiony o akcie z 3. maja wręcz oświadczył: że jak najzupełniej pochwała to, co się stało w Warszawie i że stanowczą zmianę tym sposobem przeprowadzoną, uważa za wielce skuteczną dla podwyższenia potęgi i znaczenia kraju i że tem bardziej z wiadomości tej się raduje, ponieważ go łączą przyjaźne związki z owym cnotliwym xięciem, który ma Polsce przywrócić szczęście.

Na tę sprzeczność zachodzącą pomiędzy zapatrywaniem króla pruskiego a jego ministerstwa, zdaniem naszym za mały nacisk kładzie Waleryan Kaliuka, ona bowiem jedynie tłómaczy nam dalszy rozwój polityki pruskiej, dochodzącej od kategorycznego oświadczenia króla do przeprowadzenia drugiego podziału. Jeżeli

bowiem jak najwyraźniej nie położy się nacisku na tę sprzeczność, to niepodobna zrozumieć dalszych przemian polityki pruskiej, i widzimy tylko skoki wcale niepojęte. Szanowny autor wprowadzie jak najlepiej wie o tej sprzeczności, jak najwyraźniej o niej nadmienia, lecz za mało wykazuje wpływ jej na późniejszy rozwój. Jeżeli n. p. pisze, że „w kilka dni później przybyły do Berlina Stanisław Potocki, znalazł pozycją o tyle jeszcze ulepszoną, że nie tylko monarcha wyrażał się najżyczliwiej o konstytucyi, ale wszyscy ministrowie, niewyjmując Hertzberga, na wyścigi ją chwalili i Polaków podziwiali“ — to my z naszej strony nie widzimy w tem żadnej „ulepszonej pozycyi“, były to bowiem po prostu komplementa dworaków, którzy naturalnie mimo woli a nawet wbrew swym wewnętrznym chęciom zastosować się musieli pozornie do odpowiedzi udzielonej przez pana ich posłowi polskiemu. Kiedy król tak pochlebnie się wyrażał o konstytucyi i oficjalnie dał tak korzystną odpowiedź, to i ministrowie musieli się koniecznie do tego zastosować; wewnętrznego swego przekonania, swych pragnień i dążeń jednak ani na chwilę nie zmienili, o tem przekonywa nas najdowodniej dalsze ich postępowanie. Jeżeli się przedewszystkiem sprzeczność tę uwzględni, to już z góry postawić można horoskop polityki pruskiej. Jakże bowiem być mogło inaczej? Z jednej strony król, zawsze gotów do jakiegoś szlachetnego porywu ale bez energii, bez wytrwałości, nie umiejący pokonać ani jednej przeszkody, tracący regularnie całą swą drobną dozę hartu i stałości, kiedy do celu dojść było można tylko po usunięciu różnych tam i przeszkód. Z drugiej strony ministerstwo z wrogimi dla nas zamiarami, przekonane, że zapatrywania swoje niewątpliwie przeprowadzi i opór króla usunie, jeżeli tylko pozornie podda się jego woli, jeżeli przez stanowczą opozycję nie podrażni jego uporu, a tylko przeprowadzeniu jego zamiarów postawi w drodze jedną lub drugą tamę. Wtedy entuzjazm i przychyłność króla powoli osłabną, a w końcu zmysłowy monarcha przejdzie wprost do drugiej ostateczności, przyjaźń zmieniając w nienawiść. Tak zwykle bywało u Fryderyka Wilhelma, tak i tu się stało. Ażeby więc zrozumieć dalsze fazy tej pruskiej polityki, powinniśmy ciągle mieć przed oczyma tę chwilową sprzeczność, zmuszającą początkowo nawet ministrów do przymi-
lania się posłowi polskiemu, nie powinniśmy ani na chwilę zapomnieć z jednej strony o porywczym, nie stałym, zgoła słabym królu, który i tu w pierwszej chwili dał się porwać szlachetnemu uczuciu, a z drugiej o stanowczo nam wrogiem, konsekwentnem minister-

stwie, pracującym bezustannie nad tem, żeby króla przeciągnąć do swego obozu.

Czyż bowiem polityka pruska mogła się od razu zgodzić na to, żeby w Polsce zamiast anarchii zapanował ład, zamiast libe-rum veto i elekcji dziedziczność tronu? Zarzucają Polsce, i słusznie, że głęboko upadła. Nie przeczymy temu. Lecz znowu nie tak przykrego nie robi wrażenia, jak czytanie ówczesnych dyplomatycznych not, w których aż do znużenia, przez tyle lat bezustannie powtarza się jeden i ten sam frazes we wszystkich notach państw sąsiednich: „Interes nasz wymaga, żeby się w Polsce nigdy nie uspokoiło, żeby Rzeczpospolita nigdy do ładu nie doszła, żeby anarchia stała się w niej stanem regularnym, przeszkadzajmy więc każdej reformie, nie pozwalajmy żadnej dojść do skutku“. I nad szlachetnym tym celem pracują mocarstwa bezustannie; a gdy kto pomyśli w Polsce o reformie, zaraz się wznoszą potrójne krzyki: Nie wolno, nie wolno, bo reforma ta sprzeciwia się gwarancyi z roku tego lub owego, traktatowi z dnia tego lub innego, a niestety regularnie znajdzie się także w kraju samym znaczny zastęp takich, którzy z głupoty lub za pieniądze wtórzą tym zagranicznym protestom. Przy takiej zjednoczonej, na zgubę Polski obrachowanej czynności sąsiednich mocarstw, czyż mogło w ostatnich latach przyjść do skutku choć jedno ulepszenie? O tę zawadę rozbijały się wszelkie dobre chęci, wszelkie reformatorskie dążności, zwłaszcza pierwszych lat panowania Stanisława Augusta, a później także chlubne, choć niedostatecznie przygotowane zamiary czteroletniego sejmu.

Kiedy atoli polityka pruska dotąd stanowczo z zamiarami swymi występowała, kiedy dotąd, jeżeli nie byliśmy ślepymi, musieliśmy widać jej dążności, to teraz czcze frazesa i komplementa króla Fryderyka Wilhelma prowadziły nas na bezdroże, kazały nam się łudzić mrzonkami, liczyć na pomoc pruską, a w rzeczywistości ministerstwo szło tą samą co dawniej drogą, nie wątpiąc ani chwili, że i król, kiedy się zapał i piękne słowa jego wyczerpią, stanowczo do zamiarów jego przystąpi. Dla tego właśnie taka dwoistość stała się dla Polski stokroć niebezpieczniejszą, niż najbardziej stanowcze wrogie oświadczenie ministerstwa, które na owej naradzie jednomyślnie zapadło. Gdyby zamiast pochlebnej odpowiedzi króla była poszła do Warszawy nieprzyjazna opinia ministerstwa, nie byłby się nikt w Warszawie łudził mrzonkami o pomocy pruskiej a polityka Prus byłaby się odznaczała przynajmniej jednym przymiotem: szczerością.

Sangwiniczne usposobienie króla Fryderyka Wilhelma dla sprawy konstytucyi 3. maja, pozostało tylko tak długo, dopóki go nie zajęła nowa sprawa, dopóki w niej nie znalazł nowej podniety, nowego choć chwilowego zajęcia. Kiedy zaś sprawa taka się nastręczyła — a był nią rozwój rewolucyi francuzkiej — wtedy staje się Fryderyk Wilhelm najprzód obojętnym dla Polski, a niebawem potem nawet wrogiem. Tak więc bez trudności, po krótkiej pozornej komedyi, potrafiło go ministerstwo stanowczo przeciągnąć do swych zamiarów,

Kiedy więc z Warszawy nadchodzi żądanie, żeby Prusy złożyły formalne oświadczenie, (czego się po pierwszej odpowiedzi króla było można spodziewać), że w razie potrzeby bronić będą nowego ustroju Rzeczypospolitej, odpowiadają z Berlina, że to za wielkie żądanie, że zadowolnić się należy tem, co już poprzednio oświadczone. A kiedy mimo to politykom polskim jeszcze się oczy nie otwały, nadchodzi wkrótce potem drugie oświadczenie, że owege komplementu królewskiego przecież żadną miarą uważać nie można za gwarancję polskiej konstytucyi, „bo wielka różnica zachodzi pomiędzy prostym frazesem grzeczności i współudziału a zobowiązaniem, jakie nam chcą narzucić a o jakim nawet na chwilę nigdy nie pomyśleliśmy“.

Sangwiniczna przyjaźń, jak widzimy, zamieniła się już w obojętność, obojętność zamienia się niebawem w niechęć. Z Berlina piszą do Warszawy: „Wypada nam, trzymać się jedynie biernie w nadziei, że nowy porządek rzeczy, ustanowiony przez rewolucyą z 3. maja, sam siebie zburzy“.

Już z takich wyrazów poznać możemy, powiada Häusser, jak się usposobienie w Berlinie (dodajmy: ze strony króla) powoli zmieniło; po gratulacyach i oświadczeniach radości następuje co raz wybitniejsza skłonność, aby się odłączyć, a powoli nawet widoczna uciecha, że konstytucya napotyka trudności, o które może w końcu się rozbije. Usposobienie takie jeszcze wybitniej wystąpiło w nocy z 3 stycznia następnego roku: „Alians, mówi tutaj król pruski, nie odnosił się bynajmniej do konstytucyi, której wtedy jeszcze nie było, którą przeprowadzono, nie pytając mnie wcale o zdanie a o której utworzeniu doniesiono mi dopiero, kiedy ją publicznie ogłoszono. Co do niej i co do jej utrwalenia tem mniej wolno mi czynnie wystąpić, ponieważ dotyczy ona spraw tylko wewnętrznych Rzeczypospolitej, w których uporządkowaniu ani nie brałem ani brać nie będę udziału“. Alians z r. 1790 teraz już

zaczęto tłumaczyć w tym sensie, że nie chodziło tam o gwarancję polskich posiadłości, lecz tylko o wykluczenie wyłącznego wpływu jednego mocarstwa.

Mimo takiej zmiany, jaka z ustępów tych wynika, jednak rzeczywiste ówczesne zamiary Prus jeszcze o wiele dalej sięgały. Wtedy już na dobre myślano w Berlinie o pozyskaniu jakiej części Polski a tajono się tylko jeszcze z tą chęcią, bo Rosya do-tychczas milczała, bo nie wiadzano z jakimi zamiarami nosi się carowa Katarzyna. Teraz bowiem dopiero, tego samego 9. stycznia, podpisała carowa stanowczy pokój z Turcyą, teraz mogła się z rozwiązaniem rękami rzucić na nienawistną konstytucję, nie potrzebując nadal tać swych zamiarów, które już od tak dawna we wszystkich szczegółach ułożyła, jak to pierwszy raz w rozprawie swej wykazał Kalinka. Teraz więc dopiero uznano w Petersburgu za dobre odsłonić choć rąbek zasłony, pokrywającej zamiary Rosyi. Podsunęty Goltzowi bilet do Zubowa wskazywał, że Rosya zamierza niebawem wkroczyć do Polski, a gdyby Austria i Prusy miały się opierać, zaproponuje im nowy podział. Kiedy poseł pruski w dniu 3 lutego doniósł o tem odkryciu do Berlina, cóż robi dawny aliant Polski, początkowy admirator konstytucyi 3. maja? Oto skwapliwie podejmuje rzuconą myśl, chciałby tylko jeszcze głębiej zbadać i w szczegółach poznać zamiary Katarzyny, chciałby dokładnie wiedzieć, ile też ona przeznacza jemu, a ile dla siebie zabraćby chciała z przyszej zdobyczy.

Tak więc stanął już król pruski zupełnie tam, gdzie od samego początku stało jego ministerstwo, a dokąd przy swem usposobieniu dojść koniecznie musiał. Od tej wiadomości udzielonej przez Goltza i odpowiedzi króla, polityka pruska tak ministerstwa jak Fryderyka Wilhelma dąży już niezmiennie do jednego celu, a kiedy do niego dojdzie, zależy przedewszystkiem od woli Katarzyny. Traktat zawarty w dniu 7. lutego z Austryą nie w tem nie zmienia, choć mówią tu jeszcze o gwarancyi posiadłości Rzeczypospolitej. W sojuszu tym chodziło królowi pruskiemu o poparcie tej sprawy, dla której właśnie na krótki czas rozpląnęła jego namiętność, naturalnie znowu tylko na to, aby niebawem tak samo jak wobec Polski przygasać i zniknąć.

Wojna przeciw rewolucyi francuzkiej była teraz owym cheval de bataille króla, sprawę polską pozostawia on zupełnie do decyzji swego ministerstwa, idzie na oślep za tem, czego ono pragnie. Wydawało się wtedy królowi i dworakom pruskim, że

wojna ta będzie przechadzką do Paryża, że nawet nie warto zaopatrywać się w znaczniejsze zapasy, bo za parę tygodni zwycięzka armia już będzie z powrotem. Kiedy się jednak pokazało, że walka ta wcale tak z płatka nie pójdzie, wtedy i dla niej ostygł Frydryk Wilhelm, wtedy znowu znaleźć sobie musiał nowe zajęcie, a ministerstwo dla odmiany wyprawiło go do Polski, aby odbierał hołdy od zabranej ludności.

Nie będziemy czytelnikom naszym przedstawiali dalszego rozwoju polityki pruskiej od lutego 1792 roku, bo chcieliśmy tylko wskazać na sprzeczność, zachodzącą początkowo pomiędzy królem i jego radą i na wpływ, jaki ona wywarła na stanowisko Prus. Kiedy się przekonano w Berlinie, że Rosya przychyliła się do zamiaru nowego podziału, wtedy zapanowała zupełna, niczem niezamącona zgoda pomiędzy królem a Schullenburgami, Haugwitzami, Luchesinimi, i jak się jeszcze zwali ówczesni sternicy pruskiej polityki.

(Dok. nast.)

XAWERY LISKE.

XIĄŻĘ-HUMORYSTA.

OBRAZEK OBYCZAJOWY Z KOŃCA XVIII WIEKU.

(Dokończenie.)

Mnóstwo podobnych żartobliwych mistyfikacyj, zawsze zgrabnych i śmiesznych, nigdy jednak obraźliwych, płatał generał ziem podolskich. Jakoż nie znamy takiego żartu, której ofiara miałaby być żal do xięcia, choć ofiary takie upatrywał sobie nawet między bardzo znakomitemi osobami. Wyborne są żarty xięcia, które wyprawiał z jednym swych przyjaciół, człowiekiem bardzo zacnym i bardzo wesołym, z panem starostą Kampinoskim, Gutakowskim, który był później Podkomorzym Wielkim Litewskim. Przytoczę tu kilka z tych wesołych a niewinnych figlów. Wiadomą i słynną do dziś dnia jest gościnność i towarzyskość xięcia generała ziem podolskich, którego dom był najpiękniejszym i najbardziej ożywionem ogniskiem towarzyskiego życia. Pod tym względem dwór

Czartoryskich zajmuje najzaszczytniejsze miejsce w historii obyczajowej polskiej. Dość tu wspomnieć tylko dwór Sieniawski, dość wymienić Puławy — aby scharakteryzować rolę ową świetną, jaką odgrywał dom tego niepospolitego człowieka w dziejach literatury, sztuki, cnót narodowych i wyższego towarzyskiego życia.

Ale wpływ i znakomitość tego dworu nie polegała na przepychu zewnętrznym, na pretensjonalnej okazałości, na owym zbyt-kownym splendorze, który miewa najczęściej w próżności główne swe źródło; przeciwnie pierwszy pozór tego wielkiego dworu był bardzo skromny, bo mając urok daleko silniejszy i piękniejszy, nie potrzebował wabić gości blaskiem wystawy, zbyt-kowną kuchnią i wymyślną piwnicą. Do środków atrakcyjnych tego rodzaju nie przypisywał xiążę generał żadnej wagi — i sam dowcipnie z nich żartował. Kiedy mu ktoś mówił, że dom pewnego magnata taki roztacza zbytek gastronomiczny, że pewnie dwór jego zakasuje delicjami kuchni i piwnicy, xiążę odpowiedział na to:

— Nic łatwiejszego; cały świat wie, że u Czartoryskich wino młode, ale zato masło stare!

Jakoż nie musiała mieć dobrej reputacji piwnica xięcia generała ziem podolskich, bo bliżsi znajomi jego przywozili z sobą nieraz własne wina stare. Czynił tak mianowicie pewien sąsiad xięcia, kiedy tenże mieszkał w Sieniawie. Razu jednego zapomniał jednak nasz smakosz przywieźć z sobą ulubionej buteleczki. Podczas obiadu xiążę stanął sobie za sąsiadem i pyta:

— Panie Michale, jakie Waćpan masz wino przed sobą?

— Tutejsze, Mości xiążę -- odpowiada żałośnym tonem szlachcie.

— Lichoż po tem! -- odpowiada xiążę wśród grzmiącego śmiechu zgromadzonych gości.

Owóz i ów pan Gutakowski, starosta kampinoski, będąc w przyjaźnej zażyłości z xięciem, często żartował z lichej jego piwnicy, miał zaś do tego prawo, bo sam posiadał zawsze zapas najwytworniejszych win francuzkich. Xiążę postanowił zemścić się, i uczynił to w bardzo zabawny sposób. Gdy razu pewnego przyjechał do niego p. Gutakowski, xiążę prosił go o sygnet jego herbowy, który miał na palcu, pod pozorem, że chciałby na prędce jakiś list zapieczętować. Pan Gutakowski daje pierścień, nie przezuwając nic złego, xiążę załamina go jednak oddać, a p. Gutakowski nie nagli. Xiążę tymczasem dostawszy pierścień, posyła

go do kamerdynera p. Gutakowskiego na znak, że pan jego przysłał po najlepsze wino francuzkie. Kamerdynier widząc pierścień, nie wahał się spełnić polecenia, a książę zatrzymawszy p. Gutakowskiego dłużej u siebie, raczy go jego własnem winem, mówiąc z żartobliwą dumą:

— Waćpanowie obgadujecie mnie zawsze, że nie mam dobrego wina, otóż je macie i to w najwytworniejszym gatunku!

Gutakowski pił wino, dziwił się ogromnie, zkąd taki specyał dostał się do piwnicy xięcia, i jako znawca i amator delektował się nad wyraz tak szlachetnym napojem, co xięcia generała wielce bawiło. Tłumiąc śmiech w sobie nie wydał się z sekretu, a pan Gutakowski dopiero w kilka dni po powrocie do domu, dowiedział się, że go raczono jego własnem winem.

Ale nie ten jeden raz tylko stał się p. starosta Gutakowski ofiarą żartobliwego humoru xięcia-generała ziem podolskich. Pan starosta był już w latach podeszłych, ale ubierał się zawsze bardzo starannie i wytwornie, i nie tylko starał się oto, aby wyglądał młodo, ale rzeczywiście nawet młodo wyglądał. Owóz w tę stronę ugodził humor xięcia. Pan starosta jako poseł na sejmie czteroletnim pragnął być wybranym do Deputacyi Sejmowej czy też do jakiejś komisyi i w tym celu jednał sobie głosy. Książę generał, który zawsze zwykł był żartować z jego długo trwającej młodości, udaje się do Szaniawskiego, krajczego koronnego, który nieznał osobiście bliżej kandydata, i poczyną mu przedkładać, że starosta Gutakowski nie ma jeszcze lat potrzebnych, czyli stylem officyalnym: *annos competentes*, aby mógł być wybranym do deputacyi.

— Mój krajczy dobrodzieju — mówił książę — jak się ma dziać dobrze w naszej biednej Polsce, kiedy tak młode osoby, które niedawno co szkoły opuścili, do ważnych urzędów przypuszczamy. Takim jest właśnie p. Gutakowski, który nie posiada jeszcze *annos competentes*. Ja na to nigdy nie zezwolę, i do ciebie się udaję, jako do posła gorliwego, abyś się temu opponował jak najusilniej.

Sieniawski, który był przejęty najlepszymi chęciami a wolę i zdanie xięcia wysoce sobie cenił, wstaje, skoro tylko turnus nastąpił, z uroczystą miną i wnosi przeciw wyborowi Gutakowskiego bardzo energiczną i bardzo solenną protestacyę, opierając się na tem, że kandydat jest jeszcze zanadto młody, że nie ma *annos competentes*.

Na tę uroczystą i namaszczoną protestacyę Szaniawskiego powstał śmiech w sali, i król nawet stłumić nie zdołał wesołości. Zdumiał się Szaniawski, dla czego się śmieją, zdumiał się jeszcze bardziej Gutakowski, za co Szaniawski, któremu nic nie był winien, z takim fałszywym zarzutem przeciw niemu występuje — pogodził ich dopiero xiążę, przyznając się do winy.

Na tymże samym sejmie dał xiążę-generał ziem podolskich dalszą próbkę swej jowialności. Znaną jest słabość szlachecka, i dziś jeszcze nie rzadka, do popisywania się na sejmach wymową i swadą oratorską. Nie każdy jednak co miał chęć uchodzenia za domorosłego Cycerona, miał także i potrzebne do ułożenia dobrej mowy zdolności. Była jednak i na to rada. Poseł, który chciał się popisać oracyą wspaniałą i okazale brzmiącą, a nie miał do tego konceptu, szedł do XX. Pijarów, powiadał, w jakiej materyi chce mówić i zamawiał sobie mowę, która później w sejmie odczytywał a nieraz i drukiem ogłaszał. Owóz uczynił tak jeden z posłów, a na nieszczęście jego dowiedział się o tem xiążę generał ziem podolskich. Nasz poseł z gotową w kieszeni mową prosi u laski o głos i otrzymuje go, nie przeczuwając, że mu xiążę zręcznie wykradł mowę z kieszeni. Kiedy przychodzi kolej na nieszczęśliwego mowcę, i ten ma się zabrać do wygłoszenia swej oracyi, xiążę zrywa się i prosi o głos *interlocutorie*, niby dla uczynienia uwagi nie cierpiącej zwłoki. Marszałek przyzwala, a xiążę wydobywa mowę owego posła i odczytuje ją całą głosem uroczystym i pompatycznym. Skończywszy czytać odzywa się:

— Teraz zwracam głos panu N. N.

Nieszczęśliwy mowca, który postradał długo oczekiwaną sposobność do popisu, nie stracił przecież kontenansu i dość gładko wywinał się z tej arcykomicznej sytuacji, następującemi słowy:

— Do tak wymownego i światłego głosu Xięcia Jegomości nie mam już ani słówka do dodania!

Podczas tego sejmu czteroletniego poseł pewnego ościennego państwa przy dworze polskim, miał interes w tem, aby przeszła pewna mocya. W czasie tym państwo to, mało się mieszając do spraw polskich, nie miało w sejmie swych adherentów, udał się tedy wspomniany dyplomata do xięcia, mającego stosunki z dworem jego, z prośbą, aby ową mocyę poparł.

— Jakże chcesz, mój dobrodzieju — odpowiedział mu na to xiążę — abyśmy tu co wskórali, kiedy tu nikogo nie ma z Waszej partyi tylko ja, Waćpan i — Waćpana p u d e ł!

Nie porównanym bywał xiążę generał ziem podolskich w grzecznej ironji, którą zawsze słodyczą zaprawiać umiał. Doskonale umiał lechtać próżność tych osób, którzy nią grzeszyli. a czynił to z tak zgrabną ironją, że choć iuni poznali się zaraz na żarcie, samaż osoba, o którą chodziło, uledez musiała. Bywało w Sieniawie u xięcia małżeństwo pewne z sąsiedztwa. Małżonek był wprawdzie człowiekiem dość powszednim, ale zato niezmiernie próżnym, żona zaś jego celowała znakomitemi zaletami konwersacyjnego dowcipu i była jedną z głównych ozdób towarzystwa. Raz gdy oboje byli u xięcia, mąż uparł się wyjeżdżać koniecznie i naglił do tego także żonę, mimo oporu i prośb całego towarzystwa. Udano się do xięcia z prośbą, aby owego pana zatrzymał. Było to właśnie w czasie śniadania; xiążę nabrał kluczków mnóstwo do kieszeni i przechadzając się po sali dzwonił niemi ustawicznie. Gdy już zwrócił tym sposobem uwagę całego towarzystwa na siebie, zawołał:

— Czy wiecie, co mi brzęczy w kieszeni?

Poczęto zgadywać, ale xiążę wszystkiemu zaprzeczał, aż w końcu rzekł:

— Oto śruby od karety pana N. N.; kazałem je zdjąć i mam je u siebie w kieszeni!

Goście poznali się na tej dowcipnej przesadzie, ale ów pan, co się tak spieszył i towarzystwa pozbawić chciał konwersacyjnego talentu swej żony, został przez cały tydzień w Sieniawie.

Jowializm ten nastroczał niekiedy xięciu rozmaite zabawne przygody, których opowieścią zabawiał potem towarzystwo. Raz był nawet przyczyną sensacyjnej wiadomości w dziennikach londyńskich, która zaintrygowała publiczność. Bawiąc w Londynie poszedł raz xiążę do słynnego podówczas sklepu optycznych szkieleł Dellanda. Tu zastał przypadkiem dwóch żydów polskich, z których jeden targował się z desperackim uporem o cenę okularów w łamanej angielszczyźnie. Xiążę zapłacił kupcowi za okulary, a biorąc je wręczył żydowi, odzywając się po polsku:

— Na masz żydku!

Żyd obdarowany zdziwił się i ucieszył, i mówi do xięcia:

— To Pań Polak! — a zkąd Pan?

— Z Jarosławia — odpowiada xiążę.

— Otóż i ja z Jarosławia — woła żyd — Czy Pan nie syn pana Wapińskiego albo p. burmistrza Sławika?

Nim xiażę miał czas odpowiedzieć, drugi żyd, który nie spuszczał z niego przez ten czas ani chwili oczu, szarpnął swego towarzysza za poły i szepnął:

— Cicho głupi, to xiażę Adam!

Na te słowa starszy żyd, a za nim i młodszy rzucili się płakiem do nóg xięcia generała, który co rychło uciekł.

Ale zaraz nazajutrz rozbiegła się wieść po londyńskich dziennikach o tajemniczem zdarzeniu, w którym dwóch żydów przed jakimś nieznanym w skutek kilku słów wypowiedzianych przezeń w niezrozumiałym języku, na twarz popadało, kurz z jego nóg całując i jakby Messyasza go witając.

Lubił xiażę żartować niemilosiernie z zbytów i niedoręcznych kaprysów mody, ale przywiązując zawsze wagę do form i zewnętrznego wystąpienia, nie przebaczał także i tym, co wpadali znowu w przeciwną ostateczność i zaniedbywali się w stroju. Bywał z tego względu przedmiotem żartobliwych a niewinnych ucinków także i wspaniałomyślny fundator narodowego Zakładu, J. Max. Ossoliński, najserdeczniej przez xięcia kochany, który jak tylu ludzi wyższych jeniuszem lub charakterem, niedbał wiele o swoją garderobę. Chciał raz jednak Ossoliński i pod tym względem dogodzić xięciu, i odwiedził go w Wiedniu w nowym fraku jasno-buraczkowego koloru z kołnierzem i wylogami z błękitnej pilśni. Widząc śmiałą i pewną minę swego przeznacnego przyjaciela, zawołał xiażę:

— Ossoliński pewny, że się dobrze ubrał!

Ale najbardziej podobno dokuczał z tego powodu żonie swej, tyle sławnej xiężnej z Flemmingów, założycielce puławskich zbiorów, niepospolitej damie, która około zamiłowania piękna w życiu, w sztuce i w naturze, około szerzenia uczuć patryotycznych i ogłady towarzyskiej tak znakomite położyła zasługi. Xiężna Izabella w późniejszych latach swego życia nie przypisywała wagi swemu strojowi i przywiązywała się bardzo do starych, choćby już bardzo zużytych sukien. Miłując się bardzo w kwiatach, xiężna Izabella wraz z córką swą xiężną Wirtemberską lubiła przesiadywać w pysznej oranżeryi puławskiej, pełnej najpiękniejszych roślin egzotycznych. Na taką wycieczkę ubierała się zawsze w salop stary, trochę nawet za stary, bo już obdarty. Xiażę żartując z tego, ukuł sobie nazwisko, przypominające łacińskie termina botaniczne, i nazwał xiężnę i jej salopę: *salopia obdartifera*. Owóż

nazwa ta dała powód do zabawnego nieporozumienia. Razu jednego gościli w Puławach emigranci francuzcy, a między nimi obaj znakomici Bassompierre. Zwiedzając osobliwości parku byli i w cieplarni, a gdy wrócili ztamtąd, książę generał pyta ich, czy widzieli tam Salopia obdartifera?

— *Oui nous l'avons vu, mon Prince, superbe plante!* — zawołał tonem zachwyconego znawcy Bassompierre, myśląc, że to naprawdę nazwisko jednego z krzewów zamorskich, a nie chcąc przyznać się do nieznajomości botaniki.

Innym razem był książę na assamblach u księdza Arcybiskupa Kickiego we Lwowie. Książna siedziała obok pani Jabłonowskiej, starościny Krościeńskiej. Książę-generał przechadza się po salonie, a ile razy się zbliży do obu dam, kłania się z wielkim respektem i grzecznością swojej żonie. Kiedy książę to już po raz któryś powtórzył, odzywa się książna Izabella do pani starościny Jabłonowskiej:

— To rzecz osobliwsza, że mój mąż już po raz trzeci mi się kłania, jakby mnie nie poznał!

— *Moja Mościa Dobrodziejka* — mówi na to książę-generał — w domu chodzi jak szurgot; tu się ubrała, i chce, żebym ją poznał!

Umiał książę-generał ziem podolskich trafaie charakteryzować ludzi i rzeczy, a niektóre jego wyrażenia szczęśliwie przeszły formalnie w przysłowie. On to był dowcipnym odkrywcą tej wady czysto-polskiej, nie zamykania drzwi: „Zdarzyło mi się samemu — opowiada w swych notatkach książę Henryk Lubomirski — wniknąć na pokoje księstwa z dwoma moimi ziomkami. Żaden z nas drzwi nie zamknął, a było to w czasie ostrej zimy. Książę-generał na to:

— *Prawdziwiście synowie Orła Sarmackiego, bo jeszcze żaden Polak drzwi nie zamknął*“.

Nie lubiąc dysput o gospodarstwie książę zwykł był mawiać: „Po co się zdały te wszystkie rozprawy, wszystkie się one na tem kończą, że na dolinie wymokło, a na górkach wyschło“. Mimo manier swych czysto-francuzkich lubił książę-generał bardzo poloneza, i mocno się zżywał, jeśli go nie tańczono uroczyście, okazale, z pompą sarmacką i posuwistą gracyą. O damach, które niedbale chodziły w tańcu polskim, mawiał:

— *Ot idą, jakby z listem.*

Do prywatnych zalet xięcia-generała należała wygórowana grzeczność dla dam, delikatne przestrzeganie form przyzwoitości, wzorowe poszanowanie wszelkich reguł dobrego wychowania. Pod tym względem umiał być nawet surowym i sarkastycznym, zwłaszcza jeżeli przestępcą był ktoś z młodzieży, której uchybienie każde dowcipnie a ostro strofował. X. Siarczyński, który pozostawił w rękopiśmie krótkie wspomnienie o xięciu, przytacza nam kilka takich rysów. Gdy raz przyszedł do xięcia jakiś młodzik z fryzurą bardzo excentryczną, bo napiętrzoną czubem trochę przesadnych rozmiarów, xiąże zawołał swego kamerdynera, i kazał przynieść nożyczki, począł z największą uprzejmością prosić eleganta, aby sobie ów nieszczęśliwy fronton fryzury ustrzyżdz pozwolił.

— Uczyń że to Waćpan — mówił — bo znieść nie mogę, aby syn mego dobrego przyjaciela na dudka z czubem się wstrychnął!

Raz w salonie gdy damy zasiadły, jedna z nich krzesła nie miała, na co młodzież obecna patrzyła obojętnie. Xiąże zrywa się, bierze krzesło, podaje je damie i zwracając się do młodzieży mówi:

— Proszę się mną nie gorszyć, że to czynię.

Dałoby się jeszcze dość wiele przytoczyć podobnych przykładów dowcipu i jowializmu xięcia generała ziem podolskich, poprzestaję jednak na tych, które już powtórzyłem, a przechodzę od humorysty prywatnego i towarzyskiego do humorysty, występującego w utworach publicznych, od dowcipnego człowieka do dowcipnego autora, od konceptów xięcia generała do jego komedyi. Jak mówiąc o dowcipie xięcia dotknąłem jednego, drobnego tylko rysu jego niepospolitego charakteru, tak znowu wspominając tu o jego komedjach, wyszczególniam tylko najdrobniejszą może część jego zasług około piśmiennictwa i nauki. Znany jest w literaturze xiąże-generał ziem podolskich jako autor poważnych prac naukowych, wydawanych pod pseudonymami Turskiego i Dantyszka. Dość tu wspomnieć o jego Myślach o pismach polskich, z uwagami nad sposobem pisania w rozmaitych materjach, pracy na swój czas znakomitej a i dziś jeszcze uwagi godnej. Rzucę więc na zakończenie tego wspomnienia kilka słów o tych pismach xięcia, które należą do mego tematu, a w których wystąpił jako humorysta.

Xiążę generał ziem podolskich był gorliwym miłośnikiem polskiego teatru i popierał tę podówczas bardzo jeszcze młodą instytucję z całego serca. Próbował też sam niekiedy sił swoich na polu komedyi, przełożył dla polskiej sceny dwie komedye francuzkie Regnarda: „Bliźnięta“ i „Gracze“, napisał zaś trzy komedyjki oryginalne, które ogłosił także drukiem częścią bezimiennie ; częścią pod przybranem nazwiskiem Dawida Belgrama. Tytuły tych komedyj są następujące: *Panna na wydaniu*, *Kawa*, i *Pyszno skąpski*, czyli mniejszy koncept jak przysługa.

Dawno już zrobiono to najczęściej trafne spostrzeżenie, że ludzie dowcipni w życiu, nie zawsze bywają dowcipnymi w swych pismach, i że na odwrót ludzie, których pióro tryska humorem i dowcipem, bywają w codziennem i towarzyskiem życiu dość oschłego a niekiedy nawet posępnego humoru. Uwaga ta nie da się zastosować zupełnie do xięcia generała ziem podolskich, jednakże powiedziećby można o nim zawsze, że bardziej był dowcipnym człowiekiem niż komedyo-pisarzem. Nie wypływa ztąd jednak wcale, aby konieczne próby jego pióra pozbawione były humoru. Xiążę zresztą występował na tem polu jako dyletant i bardzo wyjątkowo; — komedyjki jego powstały w chwilce jakiejś przelotnej, wolnej od obowiązków publicznych i prywatnych. Nie pisał ich też ani dla druku, ani dla sceny publicznej — ale pisał je dla szkoły rycerskiej, czyli korpusu kadetów, która to piękna instytucja przeważnie jego była dziełem i zasługą. Jedna z największych i najudatniejszych jego komedyjek j. t. *Panna na wydaniu*, tylko w tym celu była napisaną. Xiążę, dawszy się skłonić do jej wydrukowania, i wydawszy ją bezimiennie, przypisał utwór swój kapitanowi Ciszewskiemu, brygadyerowi i nauczycielowi w korpusie kadetów. „Ta komedya — mówi xiążę w dedykacy — pisana była ku pożytkowi młodzieży w szkole rycerskiej będącej, tem sprawiedliwiej wychodzi z druku jemu przypisana, że dowcipne i pożyteczne teatralne zabawy, pierwszemu Waćpanu przyszło na myśl wprowadzić w ten korpus; uznałeś tę powszechną prawdę, że moralność w przyjemne przybrana kształty, milej przejmuje umysł każdy, a osobliwie młody, i trwalszej powierza pamięci, jak kiedy w posępnej postaci przestroóg pokazuje się. Uznałeś i to, że z reprezentacyi teatralnych młodzież mieć może w zysku uformowanie rozsądku, którego zażyć koniecznie potrzeba w miarkowaniu, jaka wymowa, gust jaki, jaki ton, jest przyzwoity stanowi, okolicznościom, poruszeniom tej osoby, którą aktor udaje: młody

przez tę zabawę nabywa prezencji, składności ciała i gracyi, która wszystkiego jest ozdobą“.

Takie cele skromne zakładał sobie xiążę w swych małych komedijkach, i tylko w obrębie tego zamiaru sądzić go należy. Komedyjki jego nie byłyby nam dziś znane, bo pozostałyby były z pewnością w rękopisie, gdyby nie naleganie przyjaciół xięcia, którzy go do druku formalnie zniewalali. Temu tylko także zawdzięczamy, że posiadamy najlepszą komedijkę xięcia generała Pannę na wydaniu. Osobliwie Bohomolec domagał się u xięcia jej wydania, a popierał swoją natarczywość bardzo skutecznym środkiem, bo dowcipnemi wierszykami. I tak wystosował pisarz ten aż trzy, jak sam się wyraża „Suppliiki do Xięcia Jegomości Generała ziem podolskich, aby pozwolił wydrukować swą komedję pod tytułem Panna na wydaniu“. Oto jak jeden z tych wierszyków opiewa:

Co ludzie rzekną, na to nie uważam,
Nie jest to przeciw memu powołaniu,
Że się dopraszać tej łaski odważam,
Byś mi dał Twoją Pannę na wydaniu!

* * *

Chcę, aby poznał ją naród nasz cały,
A widząc, jak jest i mądra i miła,
Tak wielkie onej wyznawał pochwały,
Jakie Warszawa już jej wypłaciła.

* * *

Wiem, że nie jesteś słabej płci morderca,
U której grzeczność Twa jest w podziwieniu,
Byłby to dowód zawistnego serca,
Tę miłą pannę kryć w domowem cieniu.

* * *

Niechże na światło publiczne wychodzi,
Uczyni w tem łaskę wszystkich nas żądaniu,
Niech się podobne jej potomstwo rodzi,
Wydaj czem prędzej Pannę na wydaniu!

W komedyjce tej spotykamy wiele rzeczywistych zalet. Nie ma w drobnych utworach xięcia wprowadzić ani tego wyższego

humoru, ani tej siły komicznej, ani w końcu tej żywotnej, zawsze trafnej, a niekiedy wybornej charakterystyki, jaką celują komedye współczesne Zabłockiego — ale znajdujemy tam przecież wiele wesołości, bardzo ciekawe typy, żywy i dowcipny dyalog, i zręczne sytuacyjki nie pozbawione prawdziwej komiki. W komedyjce albo raczej w dyalogu p. t. *Kawa*, autor daje nam zajmujące bardzo typy z ówczesnego warszawskiego towarzystwa. Osobliwie dobrze i zabawnie oddane są typy kobiece, jak np. *Sobanudzka*, elegantka cierpiąca na wieczne nudy z własnej winy, nudząca siebie i drugich, przesycona zabawami, zrządzająca zawsze, wszędzie i na wszystko, jak dalej pani *Trzepalkowska*, której charakter już samo dane jej przez autora nazwisko tłumaczy, i inne.

W *Pannie na wydaniu* znajdują się sceny i sytuacje tak pełne wesołego humoru i komiki, że dziś by jeszcze wzbudzały śmiech widzów. Największą jednak zaletą komedijek *księcia generała ziem podolskich*, a mianowicie *Panny na wydaniu* są typy chwymane żywcem znatury, postacie powiedziałbym kradzione z bruku i salonu zarazem. Z tego powodu komedyjki te każdemu badaczowi stosunków i obyczajów owego czasu dostarczyć mogą nie jednego, może drobnego ale ciekawego szczegółu lub rysu. Trzecią *Panny na wydaniu* są zaloty czterech konkurentów do jednej panny, która jednego tylko kocha, pana *Zalotnickiego*. Towarzysza *Kawalerji Narodowej*. Przy zręcznej pomocy panny odsadza Pan *Towarzysz* dwóch konkurentów, którzy nie będąc bardzo rycerskiego serca, uciekają przed jego marsową miną, a w trzecim poznaje swego wuja, starego pułkownika, który także daje mu za wygraną. Charaktery tych wszystkich konkurentów szkicowane są szybkimi ale pewnymi i wyrazistymi rysami, a tym sposobem autor zostawił nam kilka ciekawych typów owego czasu. Takim typem jest np. jeden z konkurentów, pan *Fireyk*, którego autor słowami *Panny na wydaniu* tak maluje: „Jeden z nich jest to *Jegomość* pan *Fireyk*, a teraz że się po francuzku przebrał, i był zagranicą, zowie się *Monsieur le Comte Fireyk*, kawaler srodze ruchawy, niedawno z cudzych krajów powrócił, wypizmowany, wypudrowany, wyfryzowany, wyprostowany; po polsku wstydzi się mówić a po francuzku nie umie; jednak mu gęba nie ustaje. Poznaniem krajów, obyczajów, rządu, ciekawości, nie zaprzątał się nigdzie, ale perukarzów, traktyerów, kupców, rzemieślników w każdym mieście zna doskonale, i od nich jeszcze lepiej jest znanym, bo wszędzie zostawił długów kupe; nauczył się, jaki kwiatek, jaka wstążka, najlepiej do twarzy damom, czy ręce nam

bardziej od otrębów, czy od migdałów pierzechną, i innych wiele rzeczy równej ważności. Ustawicznie o swojej odwadze gada, o doskonałości w fectowaniu, w pojedynkach, które odprawił w Paryżu. Zawsze mi w kompanii wachlarz wyrzywa inim się bawi, a kiedy go chce odebrać, to się broni, i mówi mi: *Fi donc, Mademoiselle fi donc*, widzę, że jeszcze Waćpanna Dobrodziejka nie znasz tego chłopczyka, co jest *mon maitre*, a zowie się *l'amour*“.

Niemniej dobrym typem w Pannie na wydaniu jest p. pułkownik Staruszkiewicz, godatywus wielki, który bił się jeszcze jako partyzant króla Leszczyńskiego, a który przy każdej sposobności daje całą historję swego życia, i nigdy do tego, o czem chciał mówić, nie może trafić, nie nabłakawszy się przedtem po manowcach najrozmaitszych wspomnień z lat dawnych. Chcąc powiedzieć, że jego opiekunka nigdy romansów nie czytała, tyle do tego słów potrzebuje:

„Waszeciom teraz Dobrodziejko temi romansami łby zawracają; nie znajdziesz Waśé tego nie u mnie, jak będziesz moją. Dawniej białogłowy nie były tak mądre, ani tak uczone. U bardzo zacnej pani byłem na opiece, ta mnie oddała Śmigielskiemu, z którym przez cały czas rewolucyi chodziłem. Jak pokój stanął, miałem może lat 20 i kilka, dostałem się pod regiment Dragonji do Lejbkompanji za podchorążego, staliśmy Mościa Dobrodziejko w Kujawach, ztamtąd ruszył regiment na Ukrainę, cośmy się też tam nie nacierpieli, co koni nam nazdychało; mnie samemu jakem był Chorążym, a pułkownik Niemiec taki wysoki, chuderlawy, bardzo mnie kochał, mało co mówił po polsku, tylko: *no, no, gut, gut*, Pan Staruszkiewicz, to mnie Mościa Dobrodziejko samemu zdechło dwa konie, jeden cisawy, śliczny, uszko, noga! miałem być u Grand Muszkieterów, w tem król umarł. Potem w Radomiu attentowałem kilka komisyj, kłóciliśmy się Sztab z kapitanami o porcy; owoż Mościa Dobrodziejka ta pani, co mnie rekomendowała Śmigielskiemu, nie miała w całym domu jakkalendarz gospodarski i francuzką książeczkę do pacierza, a nie ma jej teraz równej w Polsce“.

Wspomniawszy o komedjach xięcia-generała, dodać muszę nareszcie, że jak w wszystkich pismach i w całym jego życiu, przebija się i w tych drobnych humorystycznych utworach umysł zacny, miłość kraju i rzeczy ojczystych — zalety wysokie, które nadają wdzięk szlachetny tej niepospolitej postaci

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Opodmiocie praw i prawach bez podmiotu. Studium z dziedziny prawa prywatnego na pisał Dr. Ernest Till. (Przedruk z Prawnika za r. 1872). We Lwowie, nakładem autora.

„Można być doskonałym praktykiem bez teorii, można bez teorii wybornie zastosować prawo nadane do wszystkich wypadków; ale być prawodawcą bez teorii, to w obecnych czasach jest zadaniem bardzo trudnem a właściwie niepodobnem“.

To trafne zdanie z przedmowy autora zapisujemy na czele, ażeby podnieść praktyczną doniosłość objawu, że właśnie w chwili, gdy na porządku dziennym jest sprawa rozszerzenia ustawodawczej kompetencji reprezentacji krajowej, literatura prawnicza nie może się wcale użalać na niezaprzeczoną w innych działach literatury stagnację, lecz przeciwnie wykazać się może coraz żywszym i ciągle wzrastającym ruchem. Dzięki temu prądowi mamy już dzisiaj grono młodych pracowników, którzy wzbogacili naszą ubogą literaturę prawniczą wcale cennymi pracami a nadto zajmąwszy katedry uniwersyteckie, faktami zbili wkorzone uprzedzenie, że język polski jeszcze nie dojrzał o tyle w umiejętnej terminologii, ażeby na katedrach mógł zastąpić język niemiecki.

Autor rozprawy, której tu krótką wzmiankę poświęcamy, wstępuje w szeregi takich pożytecznych pracowników i zaingurował swoją działalność naukową wiele obiecującą rozprawą, która zwrócić musi na siebie uwagę choćby tylko dlatego, że śmiało i z gruntownością poważnego studjum rozbiera kwestyę nader sporną i wątpliwą a nadto traktowaną już z rozmaitych stanowisk przez znakomitych prawników. Tylko sumienność naukowa i dojrzałe studjum mogły ochronić autora przy poruszeniu takiej kwestyi zawilej od płytkiej parafrazy cudzych myśli, zamaśkowanej balastem naukowych cytat.

Podmiotem prawa może być tylko człowiek. Ten axiomat filozofii prawa w połączeniu z utartą w teorii zasadą: niema prawa bez podmiotu, zniewolił prawników do sztucznego usuwania sprzeczności tam, gdzie niema podmiotu indywidualnie oznaczonego, jak np. w fundacjach, korporacjach, w spadku jeszcze nie objętym przez dziedzicą. Takim sztucznym sposobem pogodzenia obu powyższych zdań było utworzenie fikcyi, że w pewnych wypadkach prawo przenieść może charakter podmiotu prawa na inne rzeczy nadając im znaczenie osób prawnych. Fikcyja ta usuwająca bardzo tanim kosztem wskazaną powyżej wątpliwość a nadto poparta powagą wielu znakomitych prawników przyjęła się z początku bardzo silnie w świecie uczonym, ale w ostatnich czasach trafność jej podano w wątpliwość. Z wątpliwościami wystąpili najpierw prawnicy, których razila już sama nienaturalność wszelkiej fikcyi w nauce prawa, opartej na zimnem liczeniu się z rzeczywistością i danymi stosunkami. Zamiast fikcyi o osobach prawnych postawiono twierdzenie, że istnieć mogą prawa bez podmiotu a takie przypuszczenie znalazło natychmiast wielu zwolenników, w których szeregi zaciągnął się także autor niniejszej rozprawy, rozwijając to zdanie z większą niż inni śmiałością i dokładnością.

Ażeby wykazać, że istnieją prawa bez podmiotu tj. bez podmiotu w danej chwili indywidualnie oznaczonego, autor musiał wywody swoje poprzedzić filozoficzną diagnozą właściwej istoty prawa. Na wywiązanie się z obu tych zadań wytknął sobie autor granicę jednej i do tego wcale szczupłej rozprawy. Czy ta zwięzłość jest zaletą czy wadą? — na to wahamy się stanowczo odpowiedzieć. Zaletą jest ona o tyle, że unikanie rozwlekłości tak bardzo rozpowszechnionej obecnie nawet w dziełach umiemytnych, jest w każdym razie dowodem poważnego traktowania sprawy naukowej, zwłaszcza wobec faktu, że autor posiadał pod ręką materiał nader obfity, zaledwie wskazany w cytatach i przypiskach. Ale zwięzłość ta ma także ważną stronę ujemną, której niepodobna pominąć. Część filozoficzna rozprawy stała się w skutek tego niezupełną. Definicję prawa w znaczeniu podmiotowym jako „pożytku, który w skutek stanu prawnego i w granicach przez porządek prawny wytkniętych splywa na poszczególną jednostkę społeczną“ rozwinął autor jeszcze wcale konsekwentnie i dość wyczerpująco, ale za to zdanie, „że w społeczności ludzkiej już od wiadomych nam początków istnienia rodu ludzkiego wytworzył się historycznie pewien stan porządku, stan prawny, który tak całości jak i każdej jednostce zabezpiecza warunki istnienia i trwałości“, przedstawia się już czytelnikowi w formie raczej dogmatycznej a nie jako jasny wynik filozoficznej kombinacji. Szkodliwszym jeszcze skutkiem zbytniej zwięzłości autora

jest ustęp poświęcony prawu w znaczeniu przedmiotowem. Wyliczywszy kilka definicyi, wskazawszy na ich mnogość, oświadcza autor, że zadowoli się „krótkiem jakkolwiek może nadto ogólnikowem określeniem Stahla“. Jestto zdaniem naszym luka tem bardziej rażąca w rozprawie, która na każdym dalszem miejscu rozwija się systematycznie na podstawie logicznych wywodów.

Wprawdzie niepodobna wymagać od autora utworzenia nowej filozoficznej definicyi prawa, ale przynajmniej krótkie uzasadnienie, dlaczego tę a nie inną definicyę wybrał sobie za podstawę następnych wywodów, było naszym zdaniem rzeczą niezbędną.

Wobec takiej może trochę przesadnej zwięzłości całej rozprawy zrazić może niejednego czytelnika zaraz na wstępie niezwykłą obfitość cytat z najrozmaitszych dzieł naukowych. Obfitość cytat nie jest nigdy pewnym dowodem naukowej wartości dzieła; przeciwnie, nader często staje się nieznośnym balastem albo pozorem naukowej gruntowności. W rozprawie p. Tilla obfitość cytat zasługuje na usprawiedliwienie najpierw dlatego, że przedstawia się zaraz na wstępie nie jako pretensjonalna chępliwość, lecz jako wynik sumiennych studyów, a powtórę dlatego, że charakter całej rozprawy jest od początku do końca polemicznym, co zniwalało autora do oddawania głosu zwolennikom przeciwnych zapatrywań.

Po tych kilku uwagach pochlebnych dla autora ośmielamy się zwrócić jego uwagę na formę, która w porównaniu z treścią mniejszej jest poprawności.

I tutaj jednak usprawiedliwić można autora tą smutną okolicznością, że w pracach tego rodzaju dzisiaj jeszcze każdy pracownik posługiwać się musi prawie wyłącznie niemieckimi dziełami, co przy dłuższem badaniu naraża go na skażenie języka niemieckimi zwrotami. W rozprawie dra Tilla znajdujemy kilka takich rażących zwrotów, jak np. nastr. 38 „jest mu *contradictio in adjecto*“, na str 37 „odglądnąć (absehen?) od zapatrywań“, na str. 56 upojedynczenia (*Vereinfachung?*). Nie wytykalibyśmy wcale takich usterek, gdyby nie zachęcało nas do tego przekonanie, że autor niedługo każe nam czekać na dalsze prace naukowe, w których postęp okazać się nie omieszka zapewne i w formie.

B—w.